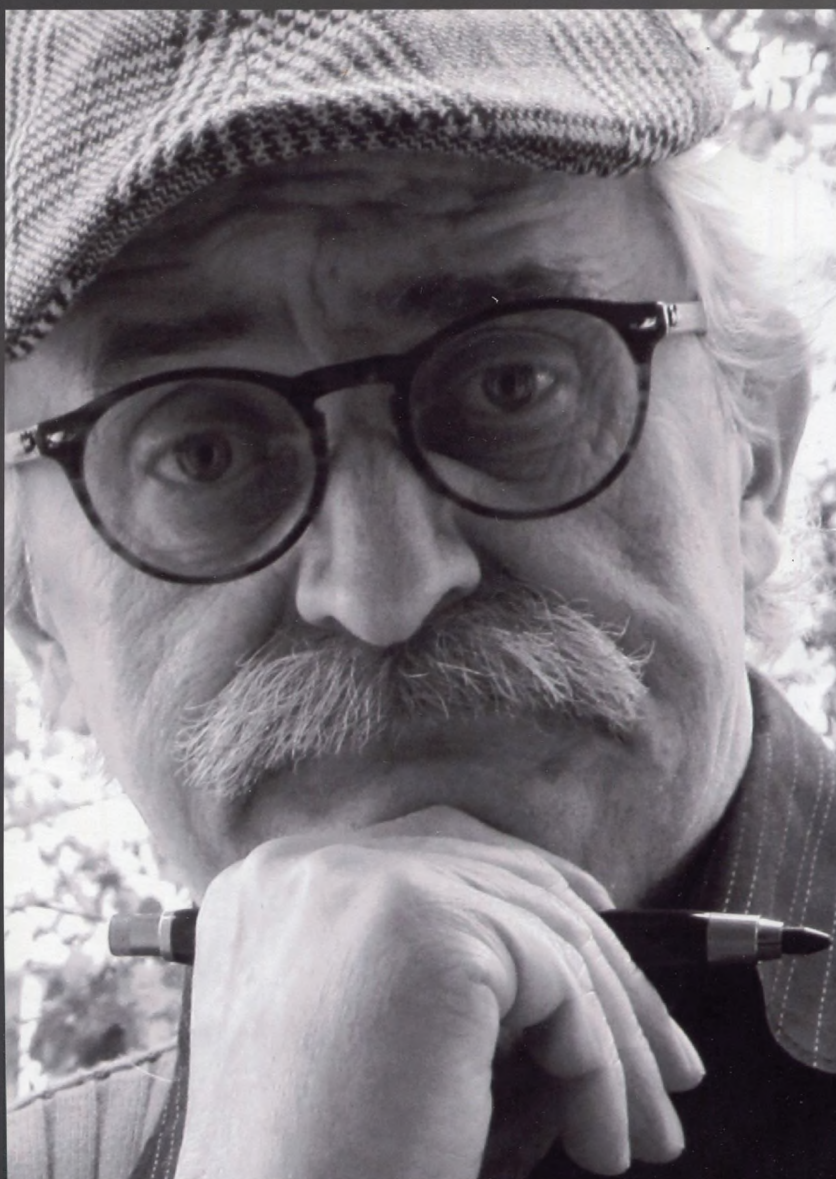


Gazeta Sremska

3-4/2022
ISSN 1232-7476
dwumiesięcznik
marzec/kwiecień
XXXII
cena 5 zł





EUGENIUSZ FERSTER

1947-2020

WYSTAWA W MUZEUM ŚREMSKIM
WERNISAŻ - 24.04.2022



Kościół pochówku i mauzoleum J.A. Komeńskiego w niderlandzkim Naarden

Sylwetkę Jana Amosa Komeńskiego, zwanego ojcem nowożytnej pedagogiki, czeskiego filozofa, reformatora, myśliciela protestanckiego przybliża Adam Podsiadły.

str. 04



Moja Mała Ojczyzna

Tomasz Szymański – regionalista, pasjonat lokalnej historii opisuje rodzinną wieś Zaborowo, jej historię i położenie.

str. 08

LeŻAKowanie

A24

Pierwsza część nowego cyklu autorstwa Tomasza Żaka, w którym autor będzie dzielił się z nami swoimi filmowymi odkryciami.

str. 30

Spis treści

str. 02	Muzealne odkrywki: 25 kwietnia 1945
str. 04	Kościół pochówku i mauzoleum J.A. Komeńskiego w Naarden
str. 08	Zaborowo – Moja Mała Ojczyzna
str. 11	Pamiętamy
str. 15	110 lat Towarzystwa Muzycznego w Śremie
str. 18	Na tropach lodowca... Część 15. Tropy lodowca ukryte pod powierzchnią terenu
str. 23	Jestem, więc pytam: Duma
str. 25	Rzeczy minione: Telewizor Rubin
str. 26	Z górnej półki: Po drugiej stronie lustra
str. 28	LeŻakowanie: Autostrada kreatywności – jak A24 stało się kultowe
str. 30	Abakanowicz. Totalna
str. 32	Kwestionariusz kultury: Jerzy Witkowski

str. 34	Opowiadanie Marty Tok: Tajemnica angielskiego domu
str. 36	Na oparach: Kaganiec na krużganku
str. 38	Tam i z powrotem, czyli polsko-włoskie historie z winem w tle
str. 40	Cześć Longer – historia pewnego wydawnictwa i pewnego psa
str. 44	Gdy Polacy mówili o wojnie, Ukraińcy szykowali się do świąt
str. 47	Sentymenty: Grosz do grosza
str. 49	Autoportrety polskich mistrzów pędzla, kredki i ołówka. Część 2
str. 52	Okiem belfra: Gdzie szukać informacji
str. 53	Wieści z ratusza
str. 56	Muzeum – wydarzenia
str. 60	ŚOK – wydarzenia
str. 62	Biblioteka – wydarzenia

Katarzyna GWINCIŃSKA

Muzealne odkrywki

25 kwietnia 1945

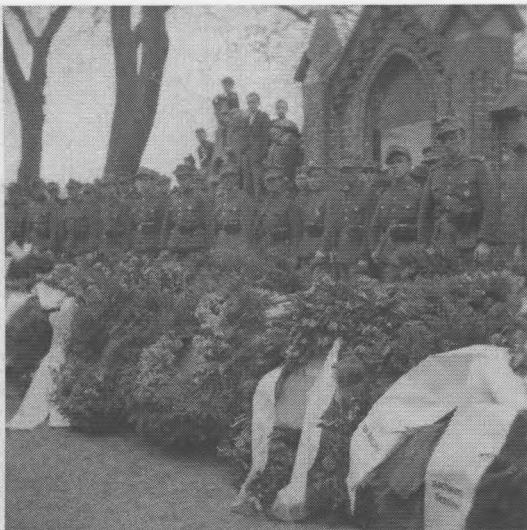
Wojna. Wojna to wszechogarniające bezprawie, zaskakujące i wstrząsające swoją brutalnością. Niezwykle trudno jest nam uwierzyć, że istnieją ludzie, którzy jej chcą, że świadomość człowieka jest tak giętka, by tym ludziom zaufać i stać się zdeterminowanym agresorem, że z drugiej strony tak łatwo, będąc napadniętym, popaść w nienawiść i chęć zemsty. Na wojnie giną nie tylko ludzie. Na wojnie ginie człowieczeństwo, z trudem potem odbudowywane przez kilka pokoleń.

25 kwietnia 1945 r. w Śremie. Porażająco smutna uroczystość. Społeczeństwo Śremu oddaje hołd ofiarom zbrodni hitlerowskiej w Zbrudzewie dokonanej 8 listopada 1939 r. Szczątki pomordowanych, wydobyte ze wspólnego dołu, znajdują właściwe miejsce na cmentarzu przy farze, tuż obok rozstrzelanych 20 października 1939 r. na śremskim rynku.

Zbrodnia w Zbrudzewie, dokonana przez gestapo z Jarocina, miała być potajemna i trudno znaleźć dla niej uzasadnienie, nawet w logice okupanta. Jej świadkiem był Józef Barański, wówczas robotnik drogowy, który – jak to wynika z jego relacji – powstrzymał pewnego przechodnia i tym samym uratował mu życie. Tym przechodniem był powojenny starosta Konrad Kozłowski stojący z pochyloną głową i z kapeluszem w dłoniach przy wykopanej mogile. Mogiła pomieści 12 trumien przewiezionych skromnym konduktem, który najpierw zatrzymał się na rynku.

Nie wiem, czy umiemy sobie w ogóle wyobrazić, co czuli uczestnicy tego pogrzebu. Nie wiem, kiedy następuje ostateczny koniec każdej wojny. Być może wtedy, gdy następna jest prawdziwym zaskoczeniem.





Fotografie układają się w swoisty fotoreportaż, który pozwala prześledzić przebieg uroczystości i uzmysławia całą jej smutek.

Na fot. obok centralnie stoi starosta Konrad Kozłowski (z pochyloną głową i z kapeluszem w dłoniach). Za murem cmentarza wówczas jeszcze pole uprawne. Zabudowa tej części miasta powstała po wojnie. Fot. ze zbiorów MŚ



Adam PODSIADŁY

Kościół pochówku i mauzoleum J.A. Komeńskiego w niderlandzkim Naarden

Jan Amos Komeński (Comenius) w 1828 r. opuścił rodzinne Morawy, należące wówczas do Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego jako uchodźca religijny i kolejne lata życia spędził na emigracyjnej tułaczce, dzieląc los wygnańca razem z 30. tysiącami wyznawców Jednoty Braci Czeskich, ruchu religijnego i odłamu protestanckiego kalwinizmu. Już nigdy nie zobaczył Nivnic, wioski położonej w pobliżu miasteczka Uherský Brod, gdzie urodził się w rodzinie młynarza 28 marca 1592 r.

Jan Amos Komeński, portret autorstwa Georgesa Glovera (1642 r.). Pocztówka w zbiorach autora



Ten najwybitniejszy uczony XVII stulecia, zwany ojcem pedagogiki nowożytnej, przez 36 lat mieszkał na obczyźnie. W Polsce, w Lesznie czterokrotnie (w latach: 1625, 1629, 1648-1650, 1652-1656), Anglii (1641-1642), Szwecji (1642-1648) i na Węgrzech (1650-1652). Wszędzie tam pisał i ogłaszał drukiem swoje dzieła pedagogiczno-dydaktyczne, filozoficzne, teologiczne, encyklopedie i podręczniki językowe. Wytrwale wprowadzał wypracowane przez siebie nowatorskie reformy w organizacji szkół i nauczania. Sam pracował też jako nauczyciel m.in. w gimnazjum w Lesznie, w Elblągu i węgierskim Siedmiogrodzie.

Ostatni, czternastoletni etap życia (1656-1670) spędził Jan Amos Komeński w Amsterdamie. Do głównego miasta Republiki Zjednoczonych Prowincji przybył w 1656 r. na zaproszenie Louisa De Geera, bogatego właściciela kopalni rud żelaza i założyciela kolonialnych kompanii handlowych w Afryce, Azji i Karaibach. De Geer dał uczonemu emigrantowi gościnę i schronienie pod własnym dachem. Po śmierci Louisa, Komeński cieszył się nadal protekcją, zaufaniem i materialną pomocą jego najstarszego syna Laurensa De Geera. Dzięki jego wpływom i poparciu rada miejska Amsterdamu przyznała 64-letniemu uczonemu stałą roczną pensję. Geerowie należeli do francuskojęzycznego kościoła walońskiego i zapewne pod ich wpływem Komeński zbliżył się do tej protestanckiej wspólnoty religijnej.

Pobyt J.A. Komeńskiego w Batavii, jak jeszcze wtedy tą starożytną, łacińską nazwą określano Królestwo Niderlandów, zaowocował wydaniem najważniejszych jego prac dydaktycznych i pedagogicznych. Jak wynika z bibliografii prac Komeńskiego, w amsterdamskim okresie jego działalności pisarskiej, w drukarniach holender-



Naarden. Dawny kościół waloński. Miejsce pochówku J.A. Komeńskiego. Fot. Igor Podsiadły

skich ukazało się 38 pozycji, w tym co najmniej 22 nowe.

Komeński, doświadczony trudami życia i wyczerpany nadzwyczaj aktywną pracą zapadł na zdrowiu i w wieku 88 lat pożegnał się z tym światem. Zmarł w domu Laurensa De Geera w Amsterdamie 15 listopada 1670 r.

Nie tam jednak znalazł miejsce ostatniego spoczynku, a w położonym ok. 20 km na południowy wschód od Amsterdamu mieście Naarden. Ta, z początku niewielka osada rybacka w XVII w. została przebudowana na twierdzę (fort wodny) i stanowiła odtąd ważne ogniwo w pasie umocnień fortecnych broniących dostępu Amsterdamu.

Był Komeński w Naarden kilkakrotnie, wcześniej niż jego doczesne szczątki odprowadzano w kondukcie pogrzebowym z Amsterdamu do tamtejszego kościółka. Zapewne był tam podczas podróży do Hagi (1826 r.) i ponownie wracając z Londynu do Amsterdamu (1642 r.). Te fakty

z życiorysu uczonego nie wpłynęły jednak na wyjaśnienie pytania: dlaczego nie został pochowany w Amsterdamie, a właśnie w niewielkim, prowincjonalnym Naarden? Sam Komeński w swoich pismach i korespondencji nie podał choćby pośredniej sugestii, że chciałby tam spocząć po śmierci.

Badacze komeniolodzy przez lata wysuwali, analizowali i stawiali w tej kwestii rozmaite hipotezy. Niektórzy uważali, że decydujący wpływ na wybór miejsca pogrzebu należał do walońskiej rodziny De Geer, inni doszukiwali się znacznej roli i osobistej decyzji ze strony Jeana Louisa Grouwelsa, administratora duchowego i kaznodziei gminy walońskiej w Naarden, który miał być za życia Komeńskiego jego przyjacielem i bliskim współpracownikiem. Niemniej prawdziwe powody pogrzebu Komeńskiego przed 350 laty w Naarden nie znalazły do dziś ostatecznego wyjaśnienia.

Zbudowana w połowie XV w. w stylu gotyckim kaplica dla braci Trzeciego Klasztoru św. Franciszka w Naarden od 1651 r. była użytkowana jako miejsce nabożeństw wyznawców kościoła walońskiego. Siedem dni po śmierci w domu Laurensa De Geera w Amsterdamie tam właśnie znalazł swój „ostatni przytułek”, jak podano na tablicy epitafijnej. Informacje o przyczynach śmierci były różne. Podawano, że zmarł przy pracy nad rękopisem, że umierał przez dłuższy czas, a syn Komeńskiego Daniel napisał, że „ojciec odszedł nagle”. Najstarszą publiczną wiadomością o śmierci Komeńskiego jest notatka w gazecie – almanachu „Holandsche Mercurius” z roku 1670-1671 (t. XXI). Na stronie 146 czytamy: „Sławny J.A. Komeński zmarł również w tym samym czasie [jak wojewoda haski, który zmarł 6 listopada 1670 r. w Paryżu – dop. A.P.] w Amsterdamie, został przewieziony do Naarden i tam został pochowany”.

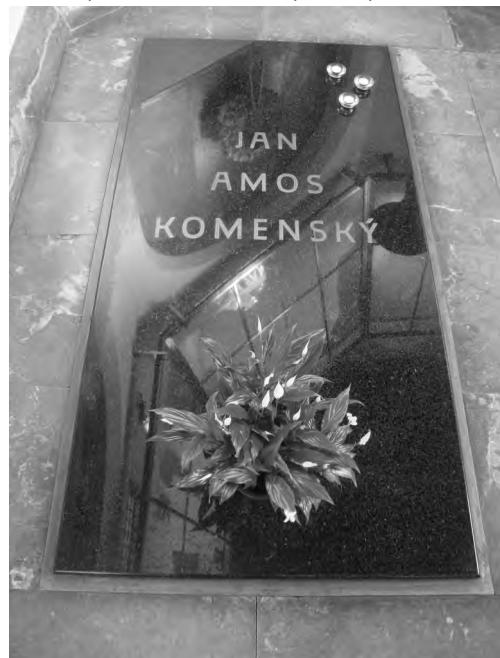
Przez wiele lat nie było pewnych informacji o lokalizacji jego grobu. Dopiero w 1871 r. notariusz i archiwista w Naarden Johann de Roper ustalił i jednoznacznie potwierdził na podstawie rejestru grobów miejsce pochówku Komeńskiego w wa-

łońskim kościele. Na tej podstawie ustalił, że grób został oznaczony już w 1670 r., jako nr 8, ale za-piski w rejestrze pochowanych w tymże roku osób mają ten sam numer miejsca. Potwierdzeniem lokalizacji grobu jest ponadto adnotacja w książce opłat za groby z 23 listopada 1670 r.: „przyjęto od panów żałobników za grób Jana Amosa Komeńskiego piętnaście florenów”. A w przepisany na nowo w 1701 r. notesie o pogrzebach przypuszczalnie kościelny poczynił przy grobie nr 8 taką adnotację: „to jest prawdopodobnie sławny autor książki Janua Linguarum”.

Natomiast czeski historyk Bohumil Hübschmann tak wyjaśnił okoliczności długiej niepewności co do miejsca pogrzebu: „Doczesne szczątki Jana Amosa Komeńskiego przeniesione zostały po jego śmierci do walońskiej świątyni w Naarden i 22 listopada 1670 roku pochowane w uprzywilejowanym grobie pod posadzką, który został zakupiony na siedemdziesiąt lat. Po siedemdziesięciu latach zgodnie z miejscową tradycją grób został przeznaczony na inny pochówek. W 1742 r. został tam pochowany pisarz i historyk amsterdamski Brouwerius, a w 1750 r. kapitan L. Querre. Z czasem grób zasypano i popadł w zapomnienie, szczególnie po przeznaczeniu kościoła w 1821 roku na świeckie cele”. Dodajmy, że przed grzebaniem zmarłego w starym grobie zawsze czyszczono niszę pod posadzką, dlatego nie było możliwe, aby grób Komeńskiego zachował się w stanie pierwotnym. Ten zwyczaj bardzo utrudnił prace poszukiwaczom szczątków Komeńskiego podjęte ponownie w 1929 r.

Po I wojnie światowej i powstaniu Republiki Czechosłowackiej jej władze w porozumieniu z rządem holenderskim podjęły wspólne starania w celu godnego uczczenia Komeńskiego i utrzymania o nim żywej pamięci przez utworzenie mauzoleum. Oficjalną drogę ku temu celowi otworzyła decyzja rządu w Hadze o przekazaniu w 1929 r. kościoła pochówku w Naarden narodowi czechosłowackiemu. W lipcu tego samego roku przeprowadzono w kościele ekshumację i badania antropologiczne. Specjaliści, na podstawie pozycji szkieletu, pomiarów czaszki i jej porównania do malowanych portretów Komeńskiego z różnych okresów życia uznali za dużym prawdopodobieństwem, że są to szczątki wielkiego Czecha pochowanego tu w 1670 r.

Płyta nagrobna J.A. Komeńskiego. Fot. Igor Podsiadły





Widok na mauzoleum J.A. Komeńskiego w Naarden. Fot. Igor Podsiadły

W 1934 r. przystąpiono do odrestaurowania wnętrza kościoła i stworzenia w nim mauzoleum Komeńskiego. Wszystkie prace powierzone zostały czeskim artystom.

Mauzoleum zostało udostępnione zwiedzającym w 1937 r. Jego główny punkt stanowi grób J.A. Komeńskiego przykryty płytą z czarnego diorytu. Obok stoi candelabrium z trzema dłońmi podtrzymującymi klucz ze świecą – symbol tęsknoty za bożym światem. Górę prezbiterium otacza rozpraszający żółte światło szklany parawan w formie niezamkniętej kopuły. Na siedmiu jego częściach przedstawiono kompozycje plastyczne pod tytułem *Vivat Comenius*, które opowiadają w obrazach i datach legendę życia Komeńskiego. Na środkowym panelu widać Komeńskiego jako pielgrzyma niosącego przesłanie pokoju. Na pierwszym panelu po lewej przedstawiony jest jako filozof z nazwami miast Londynu i Elbląga, gdzie pisał swoje dzieła. Na drugim po lewej zawarto portret Komeńskiego pedagoga oraz nazwy miast: Přerov, Leszno, Šárospatak, gdzie pracował jako nauczyciel. Trzeci element jest hołdem dla Holandii. Komeński rozmawia ze swoim mecenasem i przyjacielem Laurenssem De Geer

i wręcza mu swoje dzieło. Po prawej stronie pierwszy fragment pokazuje Komeńskiego jako teologa w rozmowie ze swoim protektorem Karellem Starszym z Žerotina. Kompozycja obok symbolizuje starania Komeńskiego o światowy pokój w towarzystwie dyplomatycznych przedstawicieli Holandii, Anglii i Szwecji. Ostatnia część, trzecia po prawej, wyobraża los Komeńskiego po upadku czeskiej niezależności. Opuszcza on z córką kraj i Jednotę Braci Czeskich na zawsze.

Mauzoleum zostało ogrodzone metalowym steżem z bramą wejściową po środku, odlanymi z białego brązu. Udekorowane są reliefami przypominającymi pienną różę i winorośl. Na ażurowej konstrukcji ogrodzenia umieszczono osiem grupowych rzeźb, które w artystycznym ujęciu przedstawiają główne etapy biografii Komeńskiego.

Do kościoła pochówku i mauzoleum przylega bezpośrednio budynek Comenius Museum otwartego na 400-lecie urodzin Komeńskiego w 1992 r. Muzeum i mauzoleum są zarządzane przez niezależną fundację powołaną w 2004 r. przez rząd Republiki Czeskiej i Gminę Naarden.

Tomasz SZYMAŃSKI

Zaborowo – Moja Mała Ojczyzna

Chciałbym Państwu opowiedzieć o mojej wsi, miejscu w którym mieszkam, gdzie mieszkali też moi przodkowie. W Zaborowie to nic wielkiego, większość od pokoleń pochodzi z tej wioski. Zaborowo to stara wieś. Pierwsze pisemne informacje na jej temat pochodzą z roku 1230, kiedy to Mikołaj Bronisz herbu Wieniawa przekazał 9 wsi w tym Zaborowo, Sroczewo, Chrzastowo, Zakrzewo, jako wiano założycielskie nowo powstającemu zakonowi Cystersów w Gościkowie, znanemu jako Paradisus Matris Dei (Raj Matki

Bożej), do którego przylgnęła skrócona nazwa Paradyż. Niedługo później, w 1256 roku, zakon sprzedał wymienione wioski, przyczyną jak sądzę było to, że były znacznie oddalone od ich siedziby. Cystersi nabywają inne, usytuowane bliżej klasztoru wsie i w XV wieku posiadają ich aż 21. W klasztornej kościele w Paradyżu, na XVII-wiecznym obrazie uwieczniona jest scena przekazania aktu założycielskiego przez komesa Bronisza – opatowi klasztoru, Henrykowi.

Dożynki w Zaborowie. Na koniu Mikołaj Olejniczak





Fragment mapy powiatu śremskiego z 1821 r. Ciemna linia wyznacza granicę powiatów. Zbiory MŚ

W 1257 roku, jako dobra rycerskie, Zaborowo uzyskuje zezwolenie na lokację na prawach niemieckich. Wiąże się to z odpowiednią formą osadnictwa, a także z dosyć charakterystyczną zabudową, tzw. ulicówką. Ten charakterystyczny sposób zabudowy przetrwał przez wieki i widoczny jest do dziś.

Niewiele wiemy co było przed 1230 rokiem, ale sądzi się, że wymienione wioski istniały znacznie wcześniej, trudno jednak ustalić jak dawno. Ze współczesnych opowieści wiadomo, że jeszcze jakiś czas temu można było na terenie Zaborowa odnaleźć pamiątki archeologiczne sprzed opisywanego okresu. Niestety nie miało Zaborowo szczęścia... Często zmieniali się właściciele, nigdy też nie było główną siedzibą żadnego ze znamienitych rodów, choć zdarzało się, że dwór w naszej wsi był zamieszkiwany przez młodsze pokolenie właścicieli z rodów magnackich, a niekiedy znaczących dzierżawców.

Zaborowo jako majątek należało do tak znanych rodów jak Dobczyńscy, Konarscy, Konarzewscy, Rozdrażewscy, Janowscy, Broniszowie czy Skrzetuscy. To zaledwie część byłych właścicieli. Niektórych pamiętamy z kart historii, niektóre

nazwiska kojarzą nam się z literaturą. Te skojarzenia zresztą są jak najbardziej słuszne – mowa tu o bohaterze sienkiewiczowskich powieści Janie Skrzetuskim, tak naprawdę Mikołaju Skrzetuskim, który rzeczywiście wstąpił się opisanymi przez Sienkiewicza czynami pod Zbarazem. Jest to postać jak najbardziej autentyczna, mocno kontrowersyjna, spowinowacana ze Skrzetuskiemi z Zaborowa i innych wsi w pobliżu.

Zaborowo jest bardzo ciekawie położone – tuż przy meandrującej w tym miejscu rzece Warcie. Nieuregulowana rzeka w sposób kapryśny wyznaczała szlaki komunikacyjne. Jeden z takich szlaków wiódł przez przeprawę promową z Zaborowa do Kępy, łącząc dwa ważne wielkopolskie ośrodki Poznań i Kalisz. Na tym odcinku rzeki Warty dostępne były jeszcze dwie przeprawy – ze Sroczewa na Biały Gościńiec i ze Świączynia na Sołec.

Obecne drogi w wielu przypadkach nie istniały, powstały w późniejszym czasie, przeszkodą były mokradła i rozlewiska. W uregulowaniu cieków wodnych bardzo pomocne okazało się osadnictwo olenderskie.



Józef Wilk, ówczesny sołtys Zaborowa z rodziną. Lata 30. XX wieku

Wiele osób z zaciekawieniem reaguje na informację, że Zaborowo przez wieki leżało na pograniczu dwóch województw tworzących wspólnie Wielkopolskę. Zaborowo, należało do powiatu kościańskiego i woj. poznańskiego, a tuż za rzeką w Kępie było już województwo kaliskie, powiat pyzdrski. Temat ten często umyka uwadze, a warto o tym wiedzieć. Sytuacja taka miała miejsce aż do czasu rozbiorów, kiedy to Prusy i Rosja dokonały nowego podziału administracyjnego. Czas zaborów to wielkie zmiany, wystarczy wspomnieć uwolnienie chłopów od pańszczyzny i rozwój przemysłu. Zaborowo trafiło w ręce właściciela, który nie był Polakiem, ale tę historię opowiem w następnym numerze.

Mam nadzieję, że zainteresowała Państwa historia Zaborowa i zechcą państwo poznawać kolejne ciekawostki. Piszę o Zaborowie nie po to, aby tworzyć iluzję jego wielkości, inne wioski i miasteczka są równie ciekawe, jednak moje serce bije właśnie tutaj. Z chęcią poznaję jego historię i lubię się nią dzielić. Ważne dla mnie są też wspólne korzenie z pobliskimi wioskami, miastami i regionem.

Na koniec winien jestem wyjaśnienia odnośnie tytułu. Powstało sporo opracowań i wierszy pod tytułem podobnym, jednakże dla mnie ten tytuł nierozdzielnie wiąże się z ludowym poetą, który urodził się w Zaborowie – Teodorem Tomczykiem. Pozwolę sobie na zacytowanie dwóch spośród wielu zwrotek jego pięknego wiersza pod tytułem *Moja Mała Ojczyzna*:

Moja MAŁA OJCZYŻNA
to moja WIOSKA RODZINNA.
Ja JĄ noszę w swym s e r c u,
czuję, że tam być ONA powinna.

Ta wioska to ZABOROWO.
Za b o r e m leży zielonym.
Jest otoczona polami –
jakby „zielonym welonem”.

Barbara SIWIŃSKA

Pamiętamy

*Cała mądrość, cała filozofia życia
to tylko dobroć
(zasłyszane)*

Generalną Gubernię (GG) jako jednostkę administracyjno-terytorialną utworzono na podstawie dekretu Hitlera z dnia 12 października 1939 roku. Obejmowała część okupowanego wojskowo przez Niemcy terytorium II Rzeczypospolitej, terenu, który nie został wcielony do Rzeszy. Kierowana przez Generalnego Gubernatora Hansa Franka miała stanowić bazę surowcową i źródło darmowej siły, wykonywanej przez Polaków – niewolników, „podludzi”, na czas prowadzenia wojny. Po planowanym zwycięstwie tereny te miały być zasiedlone przez Niemców, a Polaków zamierzano wywieźć na Sybir. Dekret Hitlera był sprzeczny z prawem międzynarodowym, a więc nielegalny. Moje miasto rodzinne Jarocin, z wielkimi połaciami zachodniej części Polski, włączył Hitler do Rzeszy tworząc Kraj Warty – Reichsgau Wartheland, czyniąc Arthura Greisera namiestnikiem. Wojenna polityka niemiecka realizowana była poprzez fizyczną eliminację większości polskiej inteligencji – potencjalnych przywódców. Prowadzono eksterminację ludności przez masowe aresztowania, rozstrzeliwanie, wysyłanie do ośrodków masowej zagłady, obozów koncentracyjnych, obozów pracy, a także na przymusowe roboty do Rzeszy. Dokonywano również masowych wysiedleń ludności.

8 grudnia 1939 roku wcześniej rano, w ciągu 15 minut zostaliśmy wyrzuceni z mieszkania: rodzice nauczyciele, sześciomiesięczna siostra Krystyna i ja – trzyletnia Basia. Po dobowym pobycie w budującym się klasztorze oo. Franciszkanów w Jarocinie, pociągiem towarowo-osobowym przetransportowano nas wraz z inny-

mi do Opoczna (GG). Tam mieliśmy sobie radzić sami. Od grudnia 1939 roku do połowy 1940 roku z powiatu jarocińskiego wysiedlono około 3 600 osób. Wysiedleńcy skierowali się do Opoczna, Białaczowa, Przysuchy, Zachorzowa, Zbożennej, Żarnowa. Nie wszyscy przeżyli wojnę. My wróciliśmy do Jarocina wiosną 1945 roku. Przez wszystkie powojenne lata rodzice, a teraz siostra i ja utrzymujemy stały kontakt z ludźmi którzy nam, wysiedlonym pomogli przeżyć.

Od lewej: Stefania Chmielarz, Krystyna Komos, Barbara Siwińska, Emilia Zdrojowa przed dworcem kolejowym w Opocznie, 2017 r.
Fot. Robert Kaźmierczak



Kilka lat temu, dokładnie 14 i 15 października 2017 roku, z inicjatywy wiceburmistrza Jarocina, Roberta Kaźmierczaka, wysiedlone dzieci, a teraz cztery już całkiem dorosłe panie: Stefania Chmielarz (de domo Bachorz), Krystyna Komos (de domo Siwińska), Barbara Siwińska, Emilia Zdrojowa (de domo Nawrocka) odbyły podróż w tamte strony. Celem była realizacja filmu dokumentalnego. Twórcy filmu to członkowie Amatorskiego Klubu Filmowego JAR. Film *Podróż do miejsc nakazanych*, także w wersji płytowej, powstał przy współudziale Stowarzyszenia Jarocin XXI, Muzeum Regionalnego z Jarocina, Opoczna i Przysuchy oraz władz gminy Opoczno. Produkcję filmu wsparła FilMOTEKA Narodowa. Film został dedykowany „wysiedlonym jarociniakom i tym którzy ich przyjęli”. Prapremiera filmu odbyła się dnia 10 grudnia 2017 roku w kinie „Echo” w Jarocinie. Sala była przepełniona. W głębokiej ciszy obejrzała go rzesza widzów. Na twarzach, nie tylko starszych wiekiem ale i młodzieży, malowało się z trudem ukrywane wzruszenie. Po projekcji filmu zorganizowano spotkanie z „aktorami”, twórcami filmu oraz panem Jackiem Kranzem – wnukiem dr. Leona Idaszewskiego, jarocińskiego lekarza, wysiedleńca. Poproszona o laudację tak mówiłam: „Pragnę bardzo serdecznie podziękować za zainteresowanie się losami rodzin wysiedlonych przez niemieckiego okupanta w grudniu 1939 roku. Od tamtego pamiętnego grudniowego ranka minęło 78 lat. Mówię teraz w imieniu czwórki wysiedlonych dzieci, które w międzyczasie nieco dorosły, ale także w imieniu całej rzeszy dzieci i setek wysiedleńców. Ich los zależał nie tylko od okupanta, ale od postawy i sposobu zachowania się mieszkańców ziemi opoczyńskiej. Na biednej ziemi żyli w niedostatku, ale mieli wielkie serca. Dzięki nim żyjemy. W powojennych czasach większość z nas urzeczywistniła swoje marzenia, mamy teraz okres odpoczynku i radości, że nasze życie jeszcze trwa. W międzyczasie zmieniały się ustroje, nastroje i władze. Ale dopiero pan Robert Kaźmierczak, wiceburmistrz Jarocina, zainteresował się losem tych tysięcy ludzi, by poprzez relacje tam wysiedlonych dzieci, uchronić wspomnienia od zapomnienia. To wyjątkowa postawa! Gratuluję pomysłu! Jestem pełna podziwu i uznania dla sposobu organizacji wyprawy w tamte strony w dniach 14-15 października tego

roku. Zapewniono nam wygodny i bezpieczny dojazd, ciekawy urozmaicony pobyt, spotkanie z ludźmi kultury tamtych stron, odwiedziny miejsc naszego wojennego pobytu, spotkanie z teraz całkiem już dorosłymi dziećmi, naszymi rówieśnikami czasu wojennego. Mogę sobie tylko wyobrazić ile czasu, wysiłku, nieprzespanych nocy, trudów podróży, poniósł Pan i zespół specjalistów Amatorskiego Klubu Filmowego JAR zaangażowanych do realizacji filmu. Telefony kierowane do mnie zazwyczaj późnym wieczorem świadczyły o tym, że nadal Pan pracuje, sprawdza, myśli, rozważa, czyli żyje problemem. Panie Burmistrzu! Zespół pracowników, których pan zmobilizował do działania to panowie: Edward Misiak, Wojciech Pietrzak, Józef Woźniak. Są mistrzami swojego fachu. Poznałam panów parę tygodni temu, ale obserwując ich pracę, zaangażowanie, wręcz poświęcenie, dbałość o szczegóły, jestem pełna uznania. Panowie, serdecznie dziękuję. Tak trzymać! Naszemu kierowcy, panu Przemkowi Maćkowiakowi dziękujemy za pełną kultury, bezpieczną jazdę oraz troskliwą opiekę. Rok 2017 jest rokiem doktora medycyny Władysława Biegańskiego; internisty, filozofa, etyka, społecznika. Tak pisał: «Kto nie jest w stanie utrzymać własnego proporca, ten nie może być chorążym całego pułku». Porównanie nasuwa się samo. Panie Burmistrzu! Pan swój proporzecz dzierży wysoko. Jest pan chorążym całego pułku. Znakomitym organizatorem, bezbłędnie wykonującym swoje zadania, ogromnie zaangażowanym w sprawę, bowiem w swych poczynaniach kieruje się Pan sercem. W dzisiejszych czasach to wyjątkowe. Taka postawa to wzór dla innych. Gratuluję! Serdecznie dziękujemy! Powtórzę za Władysławem Bartoszewskim: «Warto być przyzwoitym». Pomysłodawcy oraz cały zaangażowany zespół przeszli do historii, a «historią nie należy się chwalić, z historii należy się uczyć».

W Domu Kultury w Opocznie, 14 lutego 2019 roku projekcję filmu obejrzało kilkadziesiąt osób. Podkreślić trzeba zainteresowanie problemem i zaangażowanie władz miejskich Opoczna: burmistrza Dariusza Kosno, wiceburmistrza Tomasza Łuczakowskiego, historyka – dyrektora Muzeum Regionalnego w Opocznie – Adama Grabowskiego, dyrektora biblioteki Jerzego Misiurskiego oraz Agnieszki Zarychta-Wójcickiej, wielolet-



Tablica pamiątkowa na budynku Szkoły Podstawowej im. J. Bartoszewicza w Żarnowie, pow. Opoczno. Fot. J. Komos

niego oddanego pracownika Muzeum im. Oskara Kolberga w Przysusze.

Dalej zdarzenia posypały się lawinowo. Muzeum Regionalne w Jarocinie w 2018 roku wydało książkę *Wspomnienia wygnańca i więźnia z Jarocina* spisane przez dr Leona Idaszewskiego (1878-1956), przedwojennego i powojennego lekarza ordynującego w Jarocinie, wysiedlonego w 1939 roku do Opoczna, także więźnia Majdanka i Oświęcimia. Tekst udostępniony został przez wnuka doktora pana Jacka Kranza, obecnie mieszkającego w Bieszczadach. W roku 2019 na ścianie budynku Zespołu Szkół Ponadpodstawowych nr 1 umieszczono tablicę upamiętniającą wysiedlonych. Podobna zawisła na jednej z kamienic rynku opoczyńskiego. Jarociniacy obecni 23 lutego 2019 roku w kinie „Echo” na projekcji filmu *Zimna wojna* Pawła Pawlikowskiego, mogli się przekonać, że w filmie zagrał pałac w Białaczowie z powiatu opoczyńskiego. Po projekcji widzowie mogli spotkać się ze słynną jarocinianką Magdaleną Szwarcbart, która znana jest jako reżyser obsady większości najznakomitszych polskich filmów. Można pozazdrościć.

9 listopada 2019 roku w jarocińskim ratuszu odbyła się uroczysta sesja Rady Miejskiej. Wśród zaproszonych gości byli przedstawiciele władz Opoczna – burmistrz Dariusz Kosno i wiceburmistrz Tomasz Łuczkowski, wysiedlone panie Stefania Chmielarz, Krystyna Komos, Barbara Siwińska oraz Emilia Zdrojowa. Także wówczas poproszono mnie o wygłoszenie laudacji. Głos zabrała też Emilia Zdrojowa. Przyznam, że byłam wzruszona. Od roku 2019 Jarocin i Opoczno to miasta partnerskie. Oba podobnej wielkości: gminę opoczyńską zamieszkuje ok. 35 tysięcy osób, jarocińską ok. 46 tysięcy, samo miasto Opoczno liczy ok. 22 tysiące osób, Jarocin ok. 26 tysięcy. Te regiony trwale i na zawsze połączyła historia. Dzień 8 grudnia ustanowiony przez Radę Miejską jako Dzień Pamięci Wypędzonych Jarocinian obchodzony jest uroczyście corocznie. W połowie 2021 roku młodzież szkolna w Golinie zaprezentowała spektakl upamiętniający patronkę Szkoły Podstawowej Helenę Moszczeńską (1862-1950), ziemiankę, była właścicielką Golin, propagatorkę słynnych haftów ludowych tzw. snutek golińskich, a także jedną z wysiedlonych w opoczyńskie.

To nie jest przypadek, że pan Jarosław Szych, syn i wnuk wysiedlonych, mieszkańiec Jarocina, wystąpił z propozycją utworzenia jarocińsko-opoczyńskiego stowarzyszenia wypędzonych. Zebranie założycielskie miało miejsce 7 stycznia 2022 roku, w pięknie odrestaurowanej Kamienicy Kultury na jarocińskim Rynku mieszczącej filię nr 1 Biblioteki Głównej. W zebraniu udział wzięły 24 osoby, w tym trzy z Opoczna, jedna z Wołosatego, pozostali z Jarocina, Śremu, Żerkowa i Poznania. Po kilkugodzinnej dyskusji

przyjęto statut stowarzyszenia oraz wybrano zarząd. Stowarzyszenie nosi nazwę Jarocińsko-Opoczyńskie Stowarzyszenie Wspólna Pamięć. Terenem działalności jest obszar Rzeczypospolitej Polskiej, a siedzibą jego władz naczelnych miasto Jarocin. Stowarzyszenie opiera swoją działalność na pracy społecznej członków. Celem stowarzyszenia jest dokumentowanie i popularyzacja wspólnej historii jarocinian i opoczniaków wysiedlonych i wypędzonych w czasie II wojny światowej, inicjowanie oraz realizacja działań o charakterze kulturalnym, naukowym, edukacyjnym, społecznym, sprzyjającym poznaniu, integracji i współpracy społeczności lokalnych powiatu jarocińskiego i opoczyńskiego. Prezesem został pomysłodawca powołania stowarzyszenia Jarosław Szych, wiceprezesami Adam Grabowski – dyrektor Muzeum Regionalnego w Opocznie i Miłosz Dziurzyński – wnuk i prawnuk wypędzonych, mieszkaniec Żerkowa, skarbnikiem Genowefa Doczekalska – córka wypędzonej Stefanii Bachorz, sekretarzem Robert Kaźmierczak, a członkami zarządu Barbara Siwińska i Jerzy Misiurski – dyrektor Biblioteki w Opocznie. Do stowarzyszenia przystąpili także Emilia Zdrojowa i jej wnuk, nauczyciele jarocińskich szkół ponadpodstawowych i podstawowych m.in. Tomasz Jankowski – dyrektor Szkoły Podstawowej w Golinie koło Jarocina i prof. dr hab. Piotr Korduba – dyrektor Instytutu Historii Sztuki UAM w Poznaniu, wnuk wypędzonych. Po skompletowaniu dokumentów będziemy oczekiwać na rejestrację stowarzyszenia. Jestem bardzo zadowolona z przebiegu zdarzeń. Liczę na intensywną, wieloletnią działalność, bowiem członkami założycielami w większości zostali ludzie młodzi. Życzę powodzenia i skuteczności.

Tablica pamiątkowa na budynku Zespołu Szkół Ponadpodstawowych Nr. 1 w Jarocinie. Fot. Robert Kaźmierczak



Jerzy KONDRAS

110 lat Towarzystwa Muzycznego w Śremie

W grudniu 2021 r. minęło 110 lat od powstania Towarzystwa Muzycznego w Śremie. Warto z tej okazji wspomnieć o osobach i najważniejszych wydarzeniach związanych z jego działalnością. Na początku XX wieku, pod zaborem niemieckim, w czasie procesu germanizacji i prześladowania wszystkiego co polskie, Wielkopolanie podejmowali walkę o utrzymanie polskości w różnych sferach życia społecznego. W Śremie, w hotelu Victoria (obecnie Kinoteatr Słonko), od listopada 1911 r. odbywały się tajne spotkania, których celem było utworzenie Towarzystwa Muzycznego z polską orkiestrą. Na jednym z nich, 10 grudnia 1911 r., wybrano zarząd w składzie: Teofil Kozłowski, Teofil Schütz – dyrygenci, ks. Józef Małecki (1876-1934) – prezes oraz Erazm Kozłowski i Paweł Górny – członkowie. O początkach działalności nowo powstałego Towarzystwa dowiadujemy się z wywiadów, jakie przeprowadził Stanisław Falecki (1928-2004) z trzema współzałożycielami Towarzystwa – Andrzejem Łaznowskim, Janem Przybylskim i Szczepanem Nowickim. Wywiady te zawarte są w maszynopisie *Historia Towarzystwa Muzycznego w Śremie opracowana z okazji jubileuszu 70-lecia*. Oddają one atmosferę, w jakiej rodziło się Towarzystwo oraz mówią o trudnych początkach jego działalności. Wybuch I wojny światowej zahamował aktywność Towarzystwa i dopiero po jej zakończeniu i odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. orkiestra wznowiła działalność pod kierownictwem dyrygenta Funke. Kolejnym dyrygentem w latach 1921-1924 był Stefan Ciesielski. Pod jego batutą orkiestra udoskonaliła swoje umiejętności muzyczne i dużo koncertowała. W 1924 r. dyrygenturę przejął organista kościoła farnego, Jan Borowiak (1903-1940). W 1926 r. założył on

własny komercyjny zespół rozrywkowy Jazz Boro-Band i zrezygnował z funkcji dyrygenta orkiestry Towarzystwa. Jego miejsce zajął, wielce zasłużony dla Śremu muzyk, Stanisław Ciesielski (1895-1960). Orkiestrą dyrygował do 1954 r. W 1921 r. Stanisław Ciesielski został też dyrygentem powstałego Towarzystwa Miłośników Muzyki, popularyzującego muzykę symfoniczną, a w 1928 r. utworzył Dętą Orkiestrę

Stanisław Ciesielski, dyrygent orkiestry 1926-1954





Marian Zieliński, dyrygent orkiestry 1959-1991

Gimnazjalną, która stała się reprezentacyjną orkiestrą Kwatery Głównej ZHP i z wielkimi sukcesami występowała na międzynarodowych zlotach harcerskich na Węgrzech i w Holandii. W 1937 r. Towarzystwo Miłośników Muzyki połączyło się z Towarzystwem Muzycznym i Stanisław Ciesielski został kierownikiem obu zespołów.

Druga wojna światowa przerwała ten szeroki nurt życia muzycznego. Po wyzwoleniu Śremu podejmowano próby reaktywowania towarzystw muzycznych, ale w politycznych realiach tworzonej Polski Ludowej, działalność ich, podobnie jak innych organizacji społecznych, została zawieszona do 1959 r. Zezwalano jedynie na działalność zakładowych orkiestr. Pierwsza taka orkiestra powstała w 1946 r. przy byłej fabryce wozów Stanisława Malinowskiego. Prowadził ją Stanisław Ciesielski, a po nim, w latach 1954-1957 Marian Zieliński (1916-1991), który po śmierci Stanisława Ciesielskiego stał się najbardziej znanym i cenionym muzykiem Śremu. Wielokrotnie próbowano odrodzić przedwojenne tradycje w Śremie, ale dopiero 15 listopada 1959 r. reaktywowano Towarzystwo Muzyczne. Prezesem został Stanisław Mróz, kapelmistrzem Ma-

rian Zieliński. Siedziba Towarzystwa mieściła się w konwiku kościoła pofranciskańskiego.

W latach 1960-1977 w strukturze Towarzystwa Muzycznego funkcjonowało też Społeczne Ognisko Muzyczne. W 1976 r. prezesem Towarzystwa został Stanisław Falecki, ówczesny dyrektor Śremskiego Ośrodka Kultury. Tam też w latach 1979-1992 była siedziba Towarzystwa i miejsce prób orkiestry. W 1984 r. prezesurę Towarzystwa objął Władysław Juniewicz (1912-1998), a w latach 1990-1996 Stanisław Mikołajek.

Marian Zieliński orkiestrą dyrygował 37 lat. Zmarł 25 kwietnia 1991 r. Pamięć o nim została zachowana w szczególny sposób. W dniu Święta Niepodległości, 11 listopada 1991 r., podczas uroczystej sesji Rady Miasta, Towarzystwu Muzycznemu nadano imię Mariana Zielińskiego.

W 1992 r. w wyniku zmian organizacyjnych w ŚOK, Towarzystwo Muzyczne w Śremie przeniosło się ponownie do konwiku kościoła pofranciskańskiego przy ul. Poznańskiej 13, gdzie ma siedzibę do chwili obecnej, a batutę po Marianie Zielińskim przejął wychowanek orkiestry Michał Ratajczak.

Nowy kapelmistrz zmienił repertuar i styl muzyczny orkiestry na rozrywkowo-estradowy. Muzycy zapewniali obsługę muzyczną większości ważnych wydarzeń patriotycznych i kulturalnych organizowanych w mieście, gminie i powiecie. Zespół wielokrotnie reprezentował Śrem w różnych konkursach i przeglądach muzycznych, nawiązał współpracę partnerską z orkiestrami dętymi innych gmin i powiatów. Z okazji jubileuszu 85-lecia, Towarzystwo Muzyczne, przy finansowej pomocy Urzędu Miejskiego w Śremie, wydało kasetę magnetofonową z nagraniami swoich najpopularniejszych utworów.

W grudniu 2001 r. Polski Związek Chórów i Orkiestr „Macierz” w Poznaniu nadał Towarzystwu Złotą Odznakę Honorową za zasługi w społecznym ruchu muzycznym, a w 2005 r. Towarzystwo zostało zarejestrowane jako organizacja pożytku publicznego. Orkiestra Towarzystwa zapewniała oprawę muzyczną obchodzoną świętom państwowym i wielu uroczystościom. Uczestniczyła w konkursach i międzynarodowych festiwalach orkiestr dętych, które odbywały się w różnych miastach w Polsce.

W 2008 r. dyrygent Michał Ratajczak zrezygnował z prowadzenia orkiestry i w pełni poświęcił



Zarząd TM 2021: od lewej Angelika Paluszkiewicz (z-ca prezesa), Joanna Skorupska (członek), Antoni Błoszyk (prezes), Agnieszka Polowczyk (skarbnik), Natalia Polowczyk (sekretarz)

się swojej profesji medycznej. Orkiestrą dyrygował przez 16 lat. Kolejnym kapelmistrzem został Szymon Ratajczak, absolwent Akademii Muzycznej we Wrocławiu. Nowy dyrygent oprócz prowadzenia prób i dyrygowania orkiestrą, uczy młodzież gry na instrumentach dętych.

W grudniu 2011 r. Towarzystwo Muzyczne im. Mariana Zielińskiego w Śremie obchodziło jubileusz stulecia działalności. W hali widowiskowo-sportowej Bazar, z udziałem wielu gości, odbyła się uroczystość, podczas której orkiestra, pod dyktando Michała Ratajczaka i Szymona Ratajczaka, zaprezentowała swój muzyczny dorobek. Koncert zarejestrowany został przez Telewizję Relax i utrwalony na płycie DVD.

W latach 2013-2018 orkiestra odnosiła znaczące sukcesy na różnych festiwalach i przeglądach: w 2013 r. na XXII Międzynarodowym Festiwalu Orkiestr Dętych „Złota Lira 2013” w Rybniku zajęła 4 miejsce; w 2015 r. w Dolnośląskim Przeglądzie Orkiestr Dętych w Legnicy zdobyła „Brazowe Pasma”; w 2018 r. w Dolnośląskim Przeglądzie Orkiestr Dętych w Legnicy nagrodzona została „Złotym Pasmem” w kategorii przemarszu paradnego oraz „Srebrnym Pasmem” w kategorii koncertowej.

Ważnymi wydarzeniami w działalności Towarzystwa były odbywające się od 2016 r. podczas Dni Śremu, Festiwale Orkiestr Dętych „Mu-

zyczny Śrem”. Współorganizatorami czterech edycji festiwalowych, obok Towarzystwa Muzycznego, był Urząd Miejski w Śremie i Śremski Ośrodek Kultury. W muzycznym święcie brało udział kilkanaście orkiestr dętych. Koncerty poszczególnych zespołów odbywały się w wielu punktach Śremu, a także w okolicznych wsiach. O wydarzeniach tych szeroko pisała lokalna prasa oraz media społecznościowe.

Światowa pandemia spowodowana koronawirusem COVID-19, w 2020 r. ograniczyła działalność wszystkich instytucji i organizacji. Także orkiestra Towarzystwa Muzycznego w Śremie nie występowała publicznie. Jednak w grudniu 2020 r. odbył się niecodzienny koncert. Orkiestra zagrała dla pacjentów śremskiego szpitala. Muzycy pod dyktando Szymona Ratajczaka pojawili się na parkingu przed szpitalem i koncertowali dla wszystkich pacjentów.

Obchody 110 lat działalności Towarzystwa Muzycznego w Śremie planowano na 11 grudnia 2021 r., jednak z powodu trwającej pandemii zostały one przełożone na dogodniejszy czas.

Cześć Muzyce!

Źródła:

Życie muzyczne w Śremie (1880-2012), red. J. Kondras
Towarzystwo Muzyczne w Śremie (1911-2021) kalendarium, I. Kondras, J. Kondras

Michał LORENC

Tropy lodowca ukryte pod powierzchnią terenu

Na tropach lodowca... Część 15

Głównym bohaterem artykułów tego cyklu jest, jak pamiętamy, łądolód skandynawski, który powstał około 25 000 lat temu w północnej Skandynawii, w rezultacie postępującego ochłodzenia klimatu. Zwiększając następnie swój zasięg i grubość, pokrył północną i częściowo środkową Europę. Około 20 000 lat temu dopłynął w okolice Dolska, zatem kilkanaście kilometrów na południe od Śremu, uzyskując w ten sposób swój maksymalny zasięg. Ziemia śremska była w tym czasie przykryta warstwą lodu o grubości minimalnej 300 metrów, ale nie można wykluczyć, że sięgała ona nawet 600 metrów. Pomimo to, już około 19 500 lat temu, tym razem w wyniku postępującego ocieplenia klimatu, łądolód wytapiał się i ustępował z ziemi śremskiej. Okres zaniku łądolodu przyniósł powstanie większości polodowcowych form rzeźby terenu. Były one tworzone nie tylko bezpośrednio przez lód, ale także przez ogromne ilości wody roztopowej płynącej w obrębie łądolodu i pod łądolodem, wypływającej ostatecznie na jego przedpole jako rzeki roztopowe.

We wcześniejszych artykułach tego cyklu zapoznaliśmy się z formami rzeźby polodowcowej występującymi na ziemi śremskiej, a także z innymi tropami pozostawionymi przez łądolód, np. z głazami polodowcowymi. Zapoznaliśmy się również z formami rzeźby, które powstały po ustąpieniu łądolodu z ziemi śremskiej, ale stanowiącymi rezultat jego wcześniejszej obecności. W tym artykule, dla odmiany, spojrzymy na tropy łądolodu, których na powierzchni terenu nie widać, gdyż znajdują się pod powierzchnią, na różnych głębokościach. Spojrzymy zatem na to, co na co dzień jest dla nas niewidoczne.

W epoce lodowcowej, zatem w plejstocenie, kilkakrotnie dochodziło w Skandynawii do powsta-

nia, a następnie zaniku łądolodu. Był to rezultat częstych i silnych zmian klimatu: jego ochłodzenia przeplatały się z ociepleniami. Okresy ochłodzenia klimatu, w których rozwijały się łądolody, to tzw. glacjały. Najstarszy z nich to zlodowacenie południowopolskie. Trwało w okresie od około 800 000 do około 450 000 lat temu. Łądolód objął wówczas około 90% powierzchni dzisiejszej powierzchni Polski, zatrzymując się na Sudetach i Karpatach. Pomimo to, w wyniku następującego później ocieplenia klimatu, łądolód ten uległ całkowitemu wytopieniu. Takie okresy ciepła, powodujące zanik łądolodu, to interglacjały. Jednak po okresie ocieplenia klimatu ponownie nastąpiło jego silne ochłodzenie, rozpoczynając kolejny okres glacialny, czyli zlodowacenie. Było to zlodowacenie środkowopolskie. Trwało ono od około 300 000 lat, do około 130 000 lat temu. Łądolód w swym maksymalnym zasięgu dotarł wówczas ponownie aż po Sudety, ale już nie po Karpaty, bowiem Małopolska, Górny Śląsk, Góry Świętokrzyskie i Lubelszczyzna pozostały poza jego zasięgiem. Również ten łądolód zanikł w wyniku późniejszego ocieplenia klimatu, który stał się bardziej łagodny niż współczesny klimat Polski. Huśtawka klimatyczna trwała jednak nadal. Nawet po tak znacznym ociepleniu klimatu ponownie nastąpiło jego silne ochłodzenie, a w jego wyniku kolejne zlodowacenie. Było to zlodowacenie północnopolskie. Rozpoczęło się około 115 000 a zakończyło około 11 000 lat temu. Pod koniec trwania tego zlodowacenia łądolód pokrył zachodnią Polskę po Zieloną Górę, Leszno i wspomniany Dolsk, a nieco dalej na wschód po Konin, uzyskując w ten sposób swój maksymalny zasięg. Ponieważ był to ostatni łądolód, pod którym w okresie lodowcowym znalazła się ziemia śremska, to wła-



Pradolina pod Śremem. Fot. M. Lorenc

śnie jego tropy stanowiły temat kolejnych artykułów tego cyklu. Łądolód ten zdarł bowiem z powierzchni terenu ślady pozostawione przez swych poprzedników, rzeźbiąc powierzchnię ziemi na swój sposób. Jednak nieco głębiej, pod powierzchnią terenu, znajdziemy tropy łądolodów wszystkich trzech wymienionych powyżej zlodowaceń. Są one obecne, choć niewidoczne na powierzchni. Jak one zatem wyglądają?

Spójmy na przekrój geologiczny, który przedstawia schematycznie budowę podłoża ziemi śremskiej. W rzeźbie terenu dominują tutaj dwie główne formy. Jest to Pradolina Warszawsko-Berlińska, którą obecnie płynie rzeka Warta (fot. 1) oraz rozciągająca się poza pradoliną wysoczyzna polodowcowa (fot. 2). Pradolina, jak zapewne pamiętamy, to głębokie, szerokie, płaskodenne obniżenie terenu o orientacji wschód-zachód, powstałe tuż przed czołem zanikającego łądolodu (GŚ 9-10/2019). Zostało ono utworzone przez ogromne ilości wody płynącej wzdłuż czoła łądolodu na zachód. Były to zarówno wody rozto-

powe łądolodu, jak i wody rzek płynących z południa, którym dalszy odpływ ku północy uniemożliwiał łądolód. Płynąc z dużą prędkością i wcinając się w podłoże, wody te utworzyły głęboką na kilkadziesiąt metrów i szeroką na kilka kilometrów pradolinę, która rozpoczyna się w okolicach Warszawy, a kończy pod Berlinem. Na ziemi śremskiej jej szerokość pradoliny sięga miejscami 8 kilometrów! Zwróćmy uwagę, że obecne koryto Warty zajmuje znikomą część pradoliny (rysunek). Jakże ogromne musiały być zatem rzeki płynące pradoliną podczas zaniku łądolodu. Szacuje się, że ilość wody spływającej wówczas pradoliną była większa niż we współczesnej Amazonce! Wcinająca się głęboko w podłoże pradolina wypełniona jest głównie przez piaski i żwiry wodnolodowcowe, zatem zdeponowane przez rzeki w okresie topnienia łądolodu. Dopiero przy powierzchni terenu pojawiają się piaski rzeczne zdeponowane przez Wartę w okresie polodowcowym. Rzeka Warta, jak już wiemy, w miarę upływu czasu zmieniała



Wysoczyzna polodowcowa koło Nochowa. Fot. M. Lorenc

swój charakter. Początkowo płynęła wieloma korytami, rozlewając się szeroko po niemal całej pradolinie (GŚ 9-10/2021). Zapisem tego etapu rozwoju rzeki są odcinki jej starych koryt, obecnie odcięte od nurtu Warty, oddalone od jej koryta, zwane starorzeczami. Najstarsze z nich są zarosnięte roślinnością i wypełnione torfem, którego grubość wynosi zwykle 1-3 metry, a miejscami 4 metry (GŚ 11-12/2021). Są one również widoczne na rysunku. Młodsze starorzecza w dalszym ciągu pozostają wypełnione wodą. W pradolinie spotkamy również okazałe wydmy, powstałe już po ustąpieniu lądolodu z ziemi śremskiej, będące jednak pokłosiem wcześniejszej obecności lodowego giganta (GŚ 7-8/2021). Ich wysokość niejednokrotnie sięga kilkunastu metrów, a najwyższe wydmy osiągają ponad 20 metrów wysokości, zatem znacznie więcej niż wysokość czteropiętrowego bloku mieszkalnego.

Poza pradoliną rozciąga się wspomniana wysoczyzna polodowcowa. Jest to teren płaski lub falisty, zbudowany z gliny lodowcowej. Dominuje

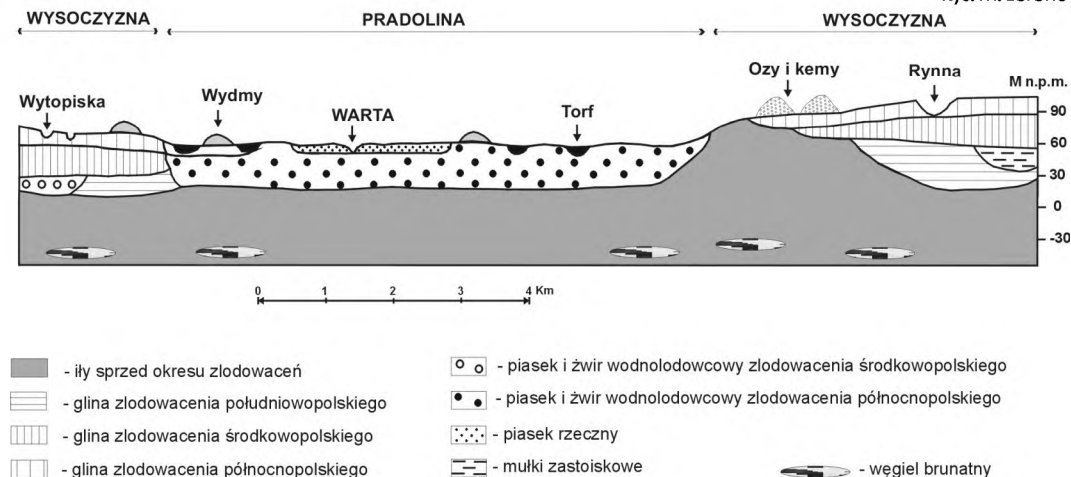
pod względem zajmowanej powierzchni (GŚ 9-10/2020). Na wysoczyźnie znajduje się lewobrzeżny Śrem, podczas gdy prawobrzeżna część miasta położona jest w pradolinie, znacznie niżej, co możemy dostrzec na co dzień. Wysoczyzna rozciąga się zatem głównie po południowej i zachodniej stronie Śremu. Znajdują się na niej takie miejscowości jak Borgowo, Drzonek, Kadzewo (na południe od Śremu) lub Nochowo, Błociszewo, Szymanowo (na zachód od Śremu).

Czy pamiętamy jak powstaje tworząca wysoczyznę glina lodowcowa, ten najbardziej charakterystyczny utwór polodowcowy? Lądolód niczym gigantyczna ciężarówka transportował w sobie ogromne ilości ziaren i okruchów różnorodnych skał i minerałów. Większość z nich została wcześniej zdarta z podłoża, głównie na obszarze Skandynawii, przez przemieszczający się lądolód. Topiąc się, lądolód pozostawiał ten transportowany bagaż skalny, który przemieszany tworzył glinę lodowcową. Można zatem rzeź, że jest ona mieszaniną wszelkich drobin skalnych

wytopionych z lądolodu. Głina lodowcowa niczym dywan pokrywała obszary uwalniane spod wytapiającego się lądolodu. Na ziemi śremskiej grubość gliny lodowcowej ostatniego lądolodu wynosi zazwyczaj kilka metrów. Jest ona obecna niemal wszędzie, poza pradoliną. Na powierzchni wysoczyzny znajdujemy znane już nam formy rzeźby polodowcowej, jak rynny polodowcowe wcinające się w podłoże na głębokość do 20 metrów i osiągające szerokość do 300 metrów, utworzone przez rzeki płynące pod lądolodem. Obecnie rynny te są wykorzystywane przez różnej wielkości ciekły wodne lub wypełnione wodami jezior (GŚ 7-8/2019). Na powierzchni wysoczyzny znajdziemy również ozy (GŚ 11-12/2019) i kemy (GŚ 3-4/2020), zatem wzniesienia które bardzo uatrakcyjniają krajobraz, osiągając niejednokrotnie wysokość kilkunastu metrów. Towarzyszą im obniżenia wytopiskowe, zazwyczaj wyraźnie zaokrąglone w swym kształcie, stanowiące ślad po zalegających w podłożu i wytopionych bryłach lodu pozostawionych przez zanikający lądolód (GŚ 11-12/2020). Również na wysoczyźnie znajdziemy wydmy (rysunek). O ile na powierzchni wysoczyzny polodowcowej zalega glina lodowcowa ostatniego lądolodu, zatem ze zlodowacenia północnopolskiego, tak pod nią znajduje się glina pozostawiona przez lądolód zlodowacenia środkowo-polskiego. Zatem znacznie starsza. Jeszcze starsza jest zalegająca niżej warstwa gliny lodowcowej pochodzącej z lądolodu

zlodowacenia południowopolskiego. Nie jest ona ciągła. Gliny poszczególnych zlodowaceń różnią się szeregiem cech, w tym składem, stąd możliwe jest ich rozróżnienie. Poza tym, pomiędzy glinami poszczególnych zlodowaceń występują często piaski i żwiry zdeponowane przez rzeki roztopowe poszczególnych lądolodów, a także utwory powstałe pomiędzy kolejnymi zlodowaceniami, czyli w interglacjach, ułatwiając przyporządkowanie warstw gliny do kolejnych lądolodów. Warstwy gliny z poszczególnych zlodowaceń tworzą zatem układ przypominający „kanapkę”, w której każda warstwa stanowi zapis obecności innego lądolodu na ziemi śremskiej. Zauważmy jednak, że pod pradoliną brak gliny lodowcowej. Dlaczego? Otóż została ona usunięta – wymyta, czyli zerodowana przez ogromne ilości wody płynącej pradoliną. Erozja denną, zatem wcinanie się tej płynącej wody w podłoże sprawiło, że obecne dno pradoliny znajduje się często niżej, niż warstwy glin lodowcowych. Miejscami pomiędzy warstwami gliny znajdują się tajemniczo wyglądające soczewy mułków zastoiskowych (rysunek). Co to takiego? Otóż przed czołem lądolodów często powstawały przylodowcowe zbiorniki jeziorne. To tzw. jeziora zastoiskowe. Na ich dnie gromadziły się znaczne ilości bardzo drobnych ziaren osadu pochodzącego głównie z topniejącego lodu. Utworzyły one pokaźne warstwy owych mułków zastoiskowych. One również ułatwiają

Rys. M. Lorenc



rozdzielenie poszczególnych warstw gliny lodowcowej i ich przyporządkowanie do poszczególnych łądolodów.

Pod utworami polodowcowymi zalega gruba warstwa iłu i mułków (rysunek). W ich obrębie, około 120 merów pod powierzchnią terenu, znajdują się najpłycej zalegające warstwy węgla brunatnego. Te utwory pochodzą jednak sprzed epoki lodowcowej. Powstały w rozległym, śródłądowym zbiorniku wodnym i na towarzyszących mu obszarach podmokłych, w ciepłym klimacie. Ich grubość często przekracza 200 metrów. Warto zauważyć, że na powierzchni terenu utwory te odsłaniają się miejscami przy krawędzi pradoliny. Dzięki temu są one eksploatowane, głównie na cele budowlane, np. we wsi Pysząca. Warto w tym miejscu dodać, że również utwory polodowcowe, jak piaski i żwiry, są obecnie eksploatowane w licznych wyrobiskach na ziemi śremskiej, a polodowcowa rzeźba i wynikające z niej uwarunkowania podłoża wywarły niebagatelny wpływ na powstanie, a następnie rozwój licznych miejscowości na ziemi śremskiej, w tym Śremu (GS 5-6/2021).

Rozpoznanie budowy podłoża ziemi śremskiej, a w rezultacie opracowanie zamieszczonego przekroju geologicznego ukazującego tę budowę, było możliwe głównie dzięki licznym odwiertom. Pozwalają one określić, jakie utwory znajdują się na konkretnych głębokościach i w jakim położeniu względem siebie. Część danych pochodzi również ze wspomnianych wyrobisk. Dla czytelników „Gazety Śremskiej”, podążających od ponad dwóch lat w tym cyklu artykułów tropami łądolodu na ziemi śremskiej, załączony przekrój geologiczny stanowi znakomite uzupełnienie. Pozwala bowiem nie tylko przypomnieć znaczną część tematów podjętych we wcześniejszych ar-

tykułach, ale także zauważyć, że tropy łądolodu znajdują się nie tylko na powierzchni terenu, ale także pod nią. Co więcej, są to tropy nie tylko ostatniego łądolodu, na którym skupialiśmy się do tej pory, ale także tropy wcześniejszych łądolodów, znacznie potężniejszych, pod którymi w przeszłości znalazła się ziemia śremska. Teren, po którym poruszamy się każdego dnia, stanowi więc prawdziwe archiwum geologicznej historii tej ziemi. Księgę, w której strona po stronie zostały zapisane informacje o tym, co i kiedy się wydarzyło. Każda warstwa utworów budujących podłoże ziemi śremskiej stanowi bowiem zapis określonego zdarzenia. Jego ślad – trop.

Kończąc tym artykułem naszą wspólną wędrówkę tropami łądolodu na ziemi śremskiej, zapraszam do lektury kolejnego artykułu, w którym wybierzemy się do pobliskiego Wielkopolskiego Parku Narodowego. Dlaczego właśnie tam? Ponieważ park ten powstał głównie w celu ochrony doskonale zachowanej rzeźby polodowcowej. Rzeźba ta stanowi największy przyrodniczy atut tego parku. Dlatego nie sposób pominąć tego szczególnego miejsca w tym cyklu artykułów.

Leszek MAŃKOWSKI

Duma

Jestem, więc pytam

Nie ma dla człowieka niczego wyższego nad zadowolenie swej dumy osobistej i żadna rana nie boli więcej od tej, którą dumie zadano¹.

Stanowi część naszej natury. Może uszczęśliwiać i dodawać wigoru, być naturalnym motorem napędowym do działania. Duma to poczucie własnej godności i wartości. To stan zadowolenia z siebie samego, z rezultatów podejmowanych wysiłków. To satysfakcja z własnych (także czyichś) sukcesów. Każdego z nas rozpieęła kiedyś duma. Każdy cieszył się momentami chwały. Dobrze jest czuć dumę? A może – niedobrze?

Według *Słownika języka polskiego* PWN duma ma trojake znaczenie. Obok pozytywnego: „zadowolenie i satysfakcja z własnych lub czyichś osiągnięć” oraz negatywnego: „wygórowane pojęcie o sobie” – jest jeszcze znaczenie niejednoznaczne: „poczucie własnej godności i wartości”. To ostatnie zależy od stopnia natężenia, bowiem prowadzić może do ukształtowania nawet bardzo negatywnych cech charakteru: pychy, zarozumiałości, nadęcia, napuszenia, wyniosłości, megalomanii, arogancji; a może nawet doprowadzić do frustracji i agresji.

Nota bene: W naszym języku dla słowa „duma” istnieje mnóstwo synonimów i wyrazów bliskoznacznych, które występują w aż kilkunastu kontekstach znaczeniowych. Najczęściej spotykane wyrazy bliskoznaczne słowa duma to: pyszałkowatość, triumfalizm, nieskromność, hardość, zarozumiałstwo, wyniosłość, arogancja, pewność siebie, cześć, uznanie, buta, honor, zadufanie, zuchwałość, ambicja, przemądrzałość, pycha, próżność, chępliwość, zuchwalstwo, nadęcie, godność, zarozumiałość, chwała, megalomania, nadętość, bufonada, waśniactwo...

Fajnie mieć dumę, ale – czy może być ona kłopotem? Wiele zależy od środowiska, w którym się

obracamy. Czy czasem duma odbierana jest jako zarozumiałość – że nie uchodzi się chwalić, koncentrować na sobie? Dla niektórych głupio jest mówić np. o sukcesie finansowym, nawet jeśli jest to po prostu pochwalenie się w pełni zasłużonym awansem. Z innej strony – odczuwana duma nie powinna stać się powodem do poniżania wszystkich wokół; do uważania, że jesteśmy posiadaczami prawdy absolutnej, która wynosi nas ponad innych. Należy więc z poczuciem dumy uważać i nazbyt się nim nie napawać.

Do pewnego stopnia duma jest zdrowa. Nadaje nam wartość, pozwala widzieć własne zalety i osiągnięcia, jest ważna dla samoakceptacji. Jednak czy nie powinna współgrać z pokorą, zrozumieniem i akceptowaniem innych? Z empatią? Ze zdolnością zauważania własnych ograniczeń i popełnianych błędów? Jak daleko od dumy do pychy?

Pragnienie, aby czuć dumę motywuje do działania – chcesz nie tylko poczuć własnego spełnienia, ale również potrafisz cieszyć się z osiągnięć innych osób. Chwilowe poczucie dumy np. z wykonanej pracy, z dokonania swojego dziecka, z awansu, ze zwycięstwa w zawodach, z osiągnięć naszych sportowców czy naukowców itp. jest jak najbardziej pozytywne. Jeśli podjęłaś się dodatkowych prac, by zarobić na dodatkowe lekcje śpiewu dla córki, to czujesz dumę z jej osiągnięć, ale także z tego, że przyczyniłaś się do sukcesu. Problem pojawi się, kiedy poczucie dumy będzie stałym elementem twojej osobowości i kiedy będziesz dążyć do tego, żeby to poczucie dumy utrwałać lub pobudzać.

Chodzisz dumny jak paw? Awansowałeś w pracy, chwalisz się tym na prawo i lewo. Wkrótce już zaczynasz myśleć, że skoro awansowałeś, to jesteś od innych lepszy, wolno ci więcej. Na tych

„gorszych” patrzysz z góry, zaczynasz ich lekceważyć i zamiast współpracować – rządzisz. Rozpiera cię duma, ale pojawia się też napięcie, frustracja i strach, więc bardzo dbasz o wizerunek odpowiedni do zajmowanego stanowiska, za bardzo o to dbasz. Jesteś sztywny, sztuczny, bez poczucia humoru i dystansu do siebie. Odniosłeś sukces, ale – wygodnie ci z nim?

Czy trwałe „bycie dumnym” nie niesie ze sobą sporego stresu? Dumny człowiek stale porównuje się z innymi, czuwa – aby nie stracić pozycji bycia lepszym, stojącym wyżej od innych. Czy dumna postawa często nie zakrywa odczuwanej wewnątrz niepewności? Strachu przed zdemaskowaniem niskiej samooceny? Czy stres przechodzący wraz z dumą nie wynika aby z ciągłej potrzeby zwracania na siebie uwagi otoczenia i chęci uzyskiwania akceptacji i podziwu?

Możemy być dumni nie tylko z samych siebie, także z innych: dzieci, partnerów, rodziców, przyjaciół, swojego miasta, kraju... Badania stale wykazują, że jesteśmy społeczeństwem dumnym. Polacy odczuwają dumę narodową, wskazując wiele jej źródeł. Większość rodaków cechuje się brakiem krytycyzmu wobec własnego społeczeństwa. Przyjmują postawę apologetyczną – widząc jedynie chlubne strony przynależności do narodu polskiego, pomijamy te wstydlive. Różnimy się tym, że chociaż jedna trzecia Polaków nie uznaje swojej przynależności narodowej ani jako powodu do dumy, ani wstydu – to co piąty z nas deklaruje, że uczucie narodowej dumy towarzyszy mu cały czas, bez względu na okoliczności. W sposób szczególny nasza narodowa duma związana jest z sukcesami sportowymi. Znow, nie ma problemu, jeżeli to zwykła duma. Niech się ludzie cieszą, niech zbiorowo przeżywają jakieś sukcesy. Ale już – gdy większa od radości z wygranej jest uciecha ze skopania „im” tyłków, to...? Dumni bez powodu? Mogą mieć poczucie lepszosci tylko z racji przynależności do jakiejś grupy. Grupa przypisuje sobie sukcesy kilku jednostek, tylko dlatego, że były one z tego samego państwa, miasta, klubu czy czegokolwiek innego, co służy do identyfikacji. Można się wtedy pysznić, mieszając tych gorszych z błotem. Wystarczy spojrzeć choćby na kibiców piłkarskich...

Mówią, że duma narodowa jest stanem neurotycznej dumy. Mają słuszość? Filozof zdaje się nie pozostawiać złudzeń: „Najmniej wartości-

wym natomiast rodzajem dumy jest duma narodowa. Kto bowiem nią się odznacza, ten zdradza brak cech indywidualnych, z których mógłby być dumny, bo w przeciwnym wypadku nie odwoływałby się do czegoś, co podziela z tyloma milionami ludzi. Kto ma wybitne zalety osobiste, ten raczej dostrzeże braki własnego narodu, ponieważ ma je nieustannie przed oczyma. Każdy jednak żalosny dureń, który nie posiada nic na świecie, z czego mógłby być dumny, chwytą się ostatniej deski ratunku, jaką jest duma z przynależności do danego akurat narodu; odżywa wtedy i z wdzięczności gotów jest bronić rękami i nogami wszystkich wad i głupstw, jakie naród ten cechują”².

Co mam na to powiedzieć, przecież bywa, że tę dumę czuję –? Ale, skoro nie uważam się za tego „żałosnego dumnia”, to o co miałbym się oburzać? Tak na zimno – mam być dumny, że urodziłem się akurat tu, nad Wartą? Nawet gdybym uwierzył, że to kraina szczęśliwości to – jaka by była tu moja zasługa? Chyba z tą zbiorową dumą trzeba bardzo uważać. Już pewnie zdrowiej poczuć się dumnym z tego, co się samemu stworzyło, osiągnęło.

Nie bawisz się w fałszywą skromność, gdy wiesz, co sobą reprezentujesz. Duma, budując naszą wartość, rodzi też pokusę... Czy – jeśli przeszarżujesz, to w miejsce dumy nie wejdzie pycha? Bo ta z uczciwą oceną wartości nie ma wiele wspólnego. Jesteś pełen radości, że wiele – ale nie wszystko – potrafisz? Cieszysz się z tego, że wygrałeś, a nie że tamci są bandą frajerów? Pamiętaj, że następnym razem możesz przegrać?

Duma jest uczuciem, stanem emocjonalnym, ale bywa też cechą charakteru i właśnie jako taka jest negatywna. Może być autodestrukcyjna, powodująca nieprawidłowości w pojmowaniu własnej osoby i definiowaniu relacji międzyludzkich. Czy taka duma nie jest po prostu błędnym egoizmem, przyczyną powstania osobowości narcystycznej?

Jak to miło stać na scenie w burzy oklasków. Jak fajnie na stadionie wznosić ręce w geście zwycięstwa. Jak dobrze wiedzieć, kiedy zejść z piedestału...

Przypisy

¹ Arthur Schopenhauer, *Erytyka, czyli sztuka prowadzenia sporów*

² Arthur Schopenhauer, *W poszukiwaniu mądrości życia. Parerga i paralipomena*

Ewa NOWAK

Telewizor Rubin

Rzeczy minione

Ten radziecki telewizor produkowany był od 1956 roku w Moskwie w zakładach noszących tę samą nazwę. Produkowano tu aparaty wyższej klasy. Prototyp był gotowy już w roku 1967, ale do seryjnej produkcji trafił na przełomie lat 60/70 XX wieku. Nie była to oryginalna radziecka konstrukcja. Licencja i technologia zostały legalnie zakupione od Francuzów. Istnieją jednak podejrzenia, że kolejny model, 401, w znacznym stopniu jest konstrukcyjną kopią francuskiego modelu „Arlequin”, produkowaną już bez odpowiedniej licencji. W Polsce, w Warszawskich Zakładach Telewizyjnych, licencyjny, kolorowy Rubin 714 p, zaczęto produkować na początku lat 70. XX wieku. Dwudziestodwucalowy Rubin ważył prawie 60 kg. W 1979 roku kosztował cztery przeciętne pensje – 22 tys. zł i był prawie nie do zdobycia. Pierwsze egzemplarze były reglamentowane, sporządzano społeczne listy, wystawano nocami w kolejkach... Co bardziej

zdeteterminowani wyruszali w podróż pociągiem do ZSRR i przywozili upragniony telewizor. Pojawienie się w Polsce tego cudu radzieckiej techniki było dla wielu prawdziwą rewolucją. Pierwszy kolorowy obraz, mimo nie najlepszej jakości hipnotyzował widzów. Przed sklepowymi wystawami gromadziły się tłumy gapiów, chcących choć przez chwilę zobaczyć kolorowy obraz na ekranie. O Rubinie krążyły dowcipy, że nagrzewał się tak mocno, że w zimie mógł służyć jako grzejnik. Oprócz tego dostarczał wielu innych „atrakcji” – strzelał, zapalał się, deformował obraz i kolory. Ale i tak był jednym z najbardziej pożądanых dóbr w tym czasie. Jego posiadanie nobilitowało, podnosiło pozycję towarzyską... To były czasy... Dziś Rubiny są eksponatami w muzeach; ale zabytkowe pudła z instrukcją serwisową i schematem użytkowania można jeszcze kupić na internetowych aukcjach.

Fot. NAC



Jolanta ANDRZEJEWSKA

Po drugiej stronie lustra. Zaskakujący Goncourt 2020

Z górnej półki

W *Anomalii* Herve'a Le Telliera, akcja pędzi na złamanie karku, by raptownie się zatrzymać i pograć nas w filozoficzną, nie do końca zrozumiałą dyspucję (przynajmniej dla niektórych). Po czym znowu ruszamy w podróż bez trzymanki aż do zaskakującego końca. Taka konstrukcja powieści wydawać się może obiecująca, jednak uprzedzam, książka napisana została w klimatach Lema, a może bardziej Adamsa – autora zabawnej powieści science fiction *Autostopem przez Galaktykę*. Utwór francuskiego pisarza także skrzy się inteligencją i dowcipem, a spowite tajemnicą, niejasne zdarzenia, z których żadne nie kończy się w sposób przewidywalny, wciągają czytelnika bez reszty. Pewnie dlatego autor sprzedał już na całym świecie ponad milion egzemplarzy... Zadziwiający i godny podziwu rezultat, jak na pozycję par excellence literacką.

Jeśli mam Wam, Drodzy Powieściożercy, opowiedzieć o *Anomalii* Herve'a Le Telliera, to muszę, niestety zdradzić parę sekretów (ci, którzy tego nie lubią, tu właśnie powinni porzucić ten felieton). A zatem, pewnego razu, kilkoro kompletnie obcych sobie ludzi wsiada na pokład tego samego samolotu Air France lecącego z Paryża do Nowego Yorku. Jest wśród nich płatny morderca, rodem z sensacji Roberta Ludluma, którego metody i dążenie do zbrodni doskonałej poznajemy w najmniejszych szczegółach. Jest para kochanków, których dzieli zbyt duża różnica wieku, by mogło się to udać. Mają także inne podejście do miłości – on jest w pełni zaangażowany, przerażony na myśl, że może ją stracić i przez to trochę zbyt zaborczy, ona zaś, zdystansowana, pozwala się wielbić. Podróż do Nowego Yorku ma być niejako przypieczętowaniem ich związku, ale czy nie stanie się odwrotnie? Parę rzędów dalej znajdujemy Victora, sfrustrowanego pisarza. Ale to

głównie praca tłumacza zdaje się przynosić mu wymierną korzyść i jako-taką rozpoznawalność w światku literackim. Jest wprawdzie autorem sześciu czy siedmiu utworów, jednak jego powieści przykrywa gruby kurz zapomnienia na półkach jakichś dyskontowych księgarni, co wpędza Victora w zły nastrój. Teraz leci do Nowego Yorku odebrać nagrodę za tłumaczenie amerykańskiego niegodnego uwagi czytadła, sprzedającego się jednak w zawrotnej liczbie egzemplarzy. Ta jawna niesprawiedliwość losu nie poprawia Victorowi humoru. Na pokładzie spotykamy też matkę z dwiema córeczkami, które po spotkaniu z tatą, wojskowym na placówce w Europie, wracają do domu. Są raczej zadowolone z powrotu, stała obecność silnego ojca, agresywnego samca-alfy wszystkie trzy nadmiernie zmęczyła. Niedaleko siedzi młody nigeryjski raper w drodze na koncert, który ma odmienić mu życie. No i jest pilot tego statku powietrznego, Dawid Merkle. Za chwilę spadnie nań olbrzymi ciężar odpowiedzialności za dwustu trzydziestu pasażerów. Na horyzoncie bowiem pojawia się ciężka huraganowa chmura, której wygląd zapowiada groźne turbulencje. Załoga powiadomiona przez kapitana nakazuje zapięcie pasów i zaczyna się kilkuminutowa jazda, po której żaden z pasażerów nie będzie już taki sam. Samolot spada tyśiąc metrów w dół, grad wielkości kurzych jaj łomocze w kadłub, pękają wierzchnie warstwy szyb, hałas i wstrząsy są takie, że nikt na pokładzie nie ma wątpliwości, iż zaraz, za chwilę, umrze w falach lodowatego oceanu na dole...

Jednak nie. Po chwili wszystko się uspokaja, pilot opanowuje lot, mistrzowsko wyprowadza maszynę z niebezpiecznej chmury, wraca cisza i spokój. Pasażerowie są uratowani. Czy jednak na pewno?

Kiedy pilot nawiąże wreszcie kontakt z lotniskiem, wywoła nie wiadomo dlaczego dziwną konsternację wśród obsługi. Po długiej liście podejrzliwych pytań, których przyczyn Dawid nie może pojąć, samolot zostaje zawrócony do bazy wojskowej w Bostonie. W dodatku w eskorcie dwóch groźnie wyglądających wojskowych myśliwców. O co tu chodzi?!

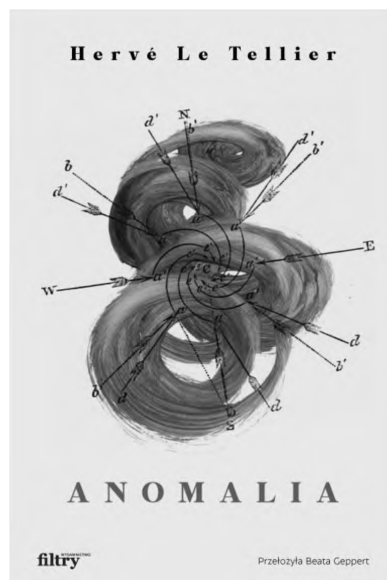
Dopiero po wylądowaniu, kiedy zdeorientowanych pasażerów i załogę umieszczono w hali napędce przygotowanej na przyjęcie dwustu trzydziestu ludzi, kapitan otrzyma zadziwiające wyjaśnienie. Otóż trzy miesiące temu, identyczny samolot Air France, pilotowany przez tę samą załogę wylądował na nowojorskim lotnisku. Nie byłoby pewnie w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że pasażerowie lotu byli także – toczka w toczkę – ci sami... Kiedy oglądamy się w lustrze, zdajemy sobie sprawę z tego, że nasze odbicie, to tak nie do końca my. Ze zdziwieniem odkrywamy nagrany dźwięk naszego głosu albo uchwyconą przez kamerę sylwetkę, która wydaje nam się obca. Łatwo wyobrazić sobie, co przeżywali bohaterowie książki Le Telliera, kiedy po pełnych napięcia godzinach i kilku dniach szli na spotkanie... ze swoimi sobowtórami! Tak, okazało się, że pasażerowie z poprzedniego lotu, są rzeczywiście tymi samymi ludźmi tylko... starszymi o trzy miesiące doświadczeń! Czy będą tym przerażeni? Czy podejmą próbę rozmowy z... samym sobą? Jak to wykorzystają? Czy zechcą coś naprawić w życiu, które jeszcze ich czeka, korzystając z doświadczenia swoich duplikatów? Czy wręcz przeciwnie, podążą tym samym tropem i nic nie będą zmieniać?

Nie mogę zdradzać wszystkiego, gdyż mam nadzieję, Drogi Czytelniku, że sięgniesz mimo wszystko po tą przedziwną i piekielnie inteli-

gentną książkę. Autor stwarzając paralelne osobowości świetnie skonfrontował człowieka z jego głębokim „ja”, z jego ukrytymi rysami osobowości, o istnieniu których nie tylko jego bliscy, ale i on sam nie mają czasami pojęcia.

Nie mam nadmiernych wyrzutów, że zdradziłam clou opowieści, gdyż od niego tak naprawdę wszystko się dopiero zaczyna. Ta książka mieni się bogactwem znakomicie skonstruowanych postaci, a zwroty akcji są na tyle zaskakujące, że czytanie jej daje prawdziwą radość. „Jak na statku pijanym – pisze w posłowniu literaturoznawca, Marek Bieńczyk – rzuca nas od burty chichotu do burty refleksji”. Nic dodać nic ująć.

Herve Le Tellier, *Anomalia*, przekład Beata Geppert
Filtry 2021, Nagroda Goncourt 2020



Tomasz ŻAK

Autostrada kreatywności – jak A24 stało się kultowe

LeŻAKowanie czyli o filmach z pozycji kanapy

Na mojej filmowej drodze wielokrotnie stawiałem się czymś ultrasem. Godzinami mogłem dyskutować o genialności Martina Scorsese i o jego wpływie na film gangsterski, jednocześnie rozwodząc się nad wyższością *Chłopców z ferajny* nad *Kasynem*. Albo na odwrót, w zależności od dnia. Użyłbym wszystkich erystycznych sztuczek, aby przekonać swojego interlokutora o wielkości Daniela Day Lewisa i pokazać rozmówcy, że to jemu należy się miano *greatest of all time*. Nigdy wcześniej jednak nie poszedłbym w ogień za firmą dystrybucyjną. Nigdy wcześniej nie pisałbym wypracowań o tym, że to firma, a nie jeden konkretny człowiek, będzie nadzieją amerykańskiego kina. Stare porzekadło jest jednak prawdziwe – nigdy nie mów nigdy.

Trzech przyjaciół będących weteranami branży filmowej – Daniel Katz, David Fenkel i John Hodges – latem 2012 stwierdziło, że musi istnieć lepszy sposób. Wokół tego jednego zdania mieli zbudować całą filozofię A24. Lepszy sposób dystrybucji, lepszy sposób marketingu i przede wszystkim lepszy sposób na twórczą wolność. Skąd to enigmatyczne A24? To nazwa włoskiej autostrady, którą poruszał się Katz kiedy przyszedł mu do głowy pomysł na nowy biznes. Zostańmy jeszcze na moment przy założycielach. Panowie postanowili nie udzielać żadnych wywiadów, a fakt, że nikt spoza firmy nie wie czym dokładnie się zajmują, dodaje tylko większej tajemniczości. Na bazę działań wybrali Nowy Jork, może i wielkie miasto, ale znajdujące się nie na tym wybrzeżu – wszak Hollywood to zachodnia część Stanów.

Już trzeci film dystrybuowany przez A24, wydany w marcu 2013 roku *Spring Breakers*, zrobił sporo szumu, wywołując jednocześnie kontrowersje. Historia czterech dziewczyn, które pod-

czas wakacji spotykają ekscentrycznego dilerę narkotyków z jednej strony spotkała się z bojkotem ze środowisk feministycznych za obiektywizację kobiet, a z drugiej zdobyła nominację do Złotego Lwa podczas Festiwalu Filmowego w Wenecji. Przy skromnym budżecie 5 milionów dolarów, film zarobił ich ponad 30. Analitycy dopatrywali się sukcesu w sposobie marketingu – 95% budżetu reklamowego ulokowano w social mediach. Tweety, wpisy na Facebooku, organiczne zdobywanie zasięgów – dziś to już nikogo nie dziwi, ale dziesięć lat temu nie było to takie oczywiste. A24 niejednokrotnie przesunęło granicę w kreatywnym marketingu. Promując thriller sci-fi *Ex Machina* Alexa Garlanda, studio stworzyło profil na Tinderze, który ostatecznie okazał się prowadzony przez humanoidalnego robota – bohaterkę filmu. Przy *A Ghost Story* wynajęto wielką przestrzeń magazynową, a odwiedzający mogli przywdziać prześcieradło – takie w jakim porusza się duch w filmie. Kultowe już *Midsommer* promowano przy pomocy zabawki, Niedźwiedź w klatce – zrozumiecie, kiedy obejrzycie ten wybitny horror.

Kreatywność to słowo klucz, coś co w branży filmowej powinno być najważniejsze. Nic bardziej mylnego, bowiem większość filmowych gigantów to twory skostniałe. Dlatego A24 częściej porównywane jest do firm z Doliny Krzemowej. Jest zarządzane jak kolektyw, nikt nie przejmuje się formalnymi tytułami składającymi się z kilku literek. Ba, tutaj nawet nikt nie ma formalnych tytułów. Młodszy pracownicy mają w obowiązkach służbowych wpisane kwestionowanie decyzji starszyny – właśnie po to, żeby nie stać się kolejnym gigantem z tradycjami, które tylko ciągną w dół. Mówią to nawet sami twórcy współpracujący z A24.

„Gdybym powiedział ci, że otwieram studio filmowe, a pierwszym obrazem, w który chcę za-inwestować grube dolary będzie tryptyk o czarnoskórym chłopcu geju, którego matka jest uzależniona od narkotyków i który zмага się z własną, reżyserowany przez typa, który wcześniej zrobił jeden, jedyny film z budżetem 15 tysięcy dolarów, stwierdziłbyś, że to ekstra pomysł? Pewnie nie, a Ci ludzie tak zrobili”.

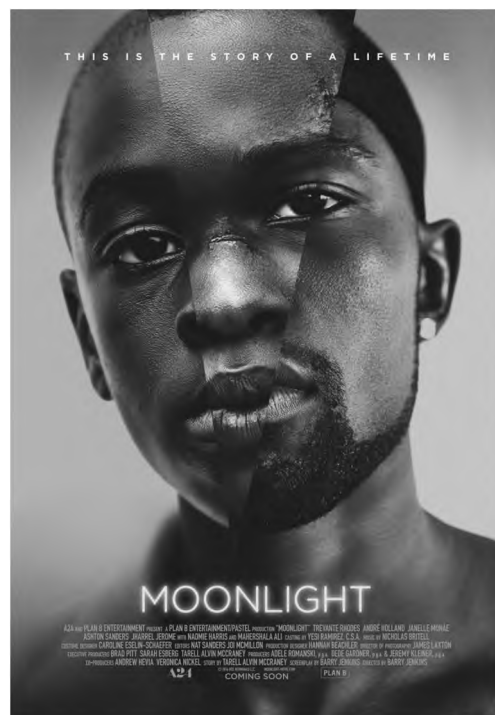
To słowa Barry’ego Jenkinsa, reżysera pierwszego filmu w całości sfinansowanego przez A24. Co to za obraz? *Moonlight* z 2016 roku, który zdobył niemal uniwersalne uznanie krytyków i Oscara za najlepszy film, wygrywając między innymi z *La La Land*. Budżet? 1,5 miliona dolarów. Film ostatecznie zarobił ich ponad 65.

Jenkins wielokrotnie wspomina, że dano mu pełną twórczą kontrolę nad filmem i dzięki temu mógł w pełni skupić się na swojej wizji, a nie na fokusowych pokazach, obecnych trendach, czy milionie innych czynników wpływających na ostateczny wygląd filmu. Podobnie prace z A24 wspomina David Lowery. Przed *A Ghost Story* pracował dla Disneya przy hicie z 2016 roku *Pete’s Dragon*. Disney znany jest ze zwalniania filmowców za różnice twórcze, Lowery co prawda twierdzi że nie mógł narzekać, ale wiecznie martwił się o siedmiolatków, ich rodziców no i akcjonariuszy Disneya. W A24 mógł odetchnąć. W zeszłym roku wyreżyserował dla nich *Green Knight*, film oparty na czternastowiecznym poemacie o Panu Gawenie i Zielonym Rycerzu. Co mu wyszło? Najpiękniejsze, ale zarazem najdziwniejsze fantasy od czasu *Władcy Pierścieni*.

Czy można jakoś scharakteryzować filmy z A24? I tak, i nie. Jak mówią inni filmowcy – wiem, kiedy oglądam coś od nich, ale żaden z filmów nie jest do siebie podobny. To jest właśnie siła A24. Przesuwanie granic w opowiadaniu historii. Niczym nieskrępowana kreatywność. No i trochę jeszcze bardziej kreatywnego marketingu. Logo A24 to już swoisty znak jakości, kiedy widzę je przed seansem filmu wiem, że nie będzie to stracony czas. To oni przywrócili świetność horrorowi, takiemu który przeraża na poziomie metafizycznym, a nie polega tylko na jump scare’ach – *The Witch*, *Hereditary*, *Midsommer*, czy *The Lighthouse* to prawdziwe filmowe przeżycia. W katalogu A24 są też świetne amerykańskie komedie pokazujące, że można zrobić hit bez wiecznego epato-

wania seksem i żartów z pierdzenia – *The Spectacular Now*, *Eight Grade*, i *The Farewell* od razu przychodzą na myśl. To wreszcie wszystko pomiędzy – od wyciskającego łzy, tegorocznego *C’mon C’mon*, przez gangsterskie *Uncut Gems* po jeden z dziwniejszych filmów jakie kiedykolwiek widziałem, czyli *The Lobster*.

Analitycy branży filmowej jednoznacznie stwierdzają, że mamy do czynienia ze zjawiskiem kulturowym, a już samo logo studia A24 przyciąga widzów na kinowe fotele, czy przed telewizory. Tak, hit ostatnich lat, emitowana na HBO *Euphoria* to także ich dzieło. Trudno jednak analizować coś, co z samej definicji wymyka się spod takich działań. Dla A24 filmy są tym, czym być powinny – sztuką, a nie kolejnymi tabelkami w Excelu.



Andrzej MATRAS

Abakanowicz. Totalna

5 lutego – wyjazd do Pawilonu Czterech Kopuł we Wrocławiu na wystawę *Abakanowicz. Totalna*. Wyjeżdżam ze Śremu o szóstej rano – rowerem do Cempinia, skąd o 7.25 odjeżdża pociąg do Szklarskiej Poręby. Warunki jazdy są złe – silny zachodni wiatr i padający drobny deszcz powodują, że w Cempiniu jestem na ostatnią chwilę, ale zdążam na pociąg. Po dziewiątej jestem we Wrocławiu, potem przejazd do Pawilonu. Na wystawę wchodzę o dziesiątej jako pierwszy zwiedzający tego dnia. Bardzo lubię sztukę Magdaleny Abakanowicz, mam do niej specjalny stosunek również jako śremianin i dawny pracownik Odlewni Żeliwa w Śremie, w której tworzyła swoje rzeźby. Ta admiracja sprawiła, że musiałem zobaczyć jej wystawę *Jesteśmy strukturami włóknistymi* w ubiegłym roku w Muzeum Narodowym w Poznaniu. Muszę zobaczyć i tę najnowszą we Wrocławiu.

Wrocławska wystawa twórczości Magdaleny Abakanowicz sprawia bardzo dobre wrażenie; myślę, że jest ciekawsza od tej poznańskiej. Wystawa *Jesteśmy strukturami włóknistymi* koncentrowała się na gobelinach i abakanach (choć przedstawiano na niej również rzeźby artystki); na wystawie we Wrocławiu abakany, czyli monumentalne, przestrzenne tkaniny, stanowią tylko część ekspozycji, która jest o wiele bardziej różnorodna, dodatkowo wsparta bogatym materiałem filmowym i materiałem dokumentacyjnym. Przestrzenne, historyczne ale odnowione i sprawiające nowoczesne wrażenie pomieszczenia Pawilonu Czterech chyba też bardziej się nadają do takiej wystawy. Już w pierwszej sali, zaraz po wejściu, zwiedzających wita instalacja video przedstawiająca fotografie artystki z różnych lat jej życia, a z nią pierwsze rzeźby: *Portrety anonimowe* z utwardzonej żywicy tkaniny

**Abakanowicz.
Totalna**

Pawilon Czterech Kopuł
Muzeum Sztuki Współczesnej
Oddział Muzeum Narodowego
we Wrocławiu

Abakanowicz.
Total

The Four Domes Pavilion
Museum of Contemporary Art
Branch of the National Museum
in Wrocław

ul. Wystawowa 1
mnw.pl

19.12.
2021
—
28.08.
2022







jutowej. To technika, którą Abakanowicz często stosowała w swoich rzeźbach, również na przykład w znanym mi już z Poznania *Thumie*, *Mutantach* i nieznannej *Klatce* i *Mędrcach*. Na wystawie jest dużo obiektów do tej pory mi nieznanych, a fascynujących swoją formą i treścią. Należy do nich na przykład gobelin *Życie Warszawy* (kopia pierwszej strony gazety z 25 maja 1973 r., uwiadamiająca absurd peerelowskiej propagandy), teka graficzna *Katarsis*, związana z grupą rzeźb z brązu zrealizowaną we Włoszech, *Koło z liną*, czyli ogromna drewniana szpula z rozwijającą się z niej konopną liną. Przez szybę mogę też zobaczyć stojących już na zewnątrz budynku *Rycerzy króla Artura*, znanych mi dotychczas tylko z fotografii. Mam szczęście, ponieważ o godzinie 11 rozpoczyna się oprowadzanie po wystawie (na stronie internetowej Pawilonu nic o nim nie wspomniano). Postanawiam dołączyć do grupy. Oprowadzanie jest przeznaczone dla osób niewidomych i słabo widzących, które mogą dotykać rzeźb. Korzystam i ja z tej niepowtarzalnej okazji (w muzeach przecież zwykle nie wolno dotykać eksponatów) poczucia faktury tkaniny *Konglomeratów*, liny zwisającej z wielkiego drewnianego koła, drewna i metalu *Gier wojennych*.

Na wystawie pokazano bardzo dużo eksponatów, wszystkie pochodzą ze zbiorów własnych Muzeum Narodowego we Wrocławiu, które ma najbogatszą kolekcję prac artystki. Dlaczego? Przecież Magdalena Abakanowicz mieszkała w Warszawie, była profesorem na Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu, skąd więc ta obfitość we Wrocławiu? Wyjaśnia to nasza przewodniczka. Muzeum zawdzięcza ją przede wszystkim przyjaźni Magdaleny Abakanowicz z Mariuszem Hermansdorferem, byłym dyrektorem Muzeum Narodowego. Poznali się przy okazji organizowania wystaw, wiele z tych prac to dary artystki. O kulisach organizacji tych wystaw, zabiegach, ich stronie biurokratycznej i codziennych problemach związanych z wystawami, pracą artystyczną opowiadają zresztą reprodukcje dokumentów i korespondencji.

Na wystawie spędzam 3,5 godziny, chociaż mógłbym pobyć tu jeszcze dłużej. Niestety muszę zrezygnować z obejrzenia kończących wystawę kilku filmów na dziedzińcu Pawilonu Czterech Kopuł – muszę zdążyć jeszcze na pociąg do Czerwonej o 14.34.

KWESTIONARIUSZ KULTURY



Fot. Złoty Liść Studio Fotografii Plastycznej

JERZY WITKOWSKI

Rocznik 1971. Śremianin. Absolwent śremskiego LO. Ekolog po Akademii Rolniczej w Poznaniu. Językoznawca po Filologii Angielskiej. Autor tekstów piosenek. Aktywista rowerowy i nie tylko.

1 Kim jestem...

Tym siwym co tu przechodził.

2 Co jest najważniejszym osiągnięciem mojego życia...

Wypracowałem pewien balans pomiędzy buntem a akceptacją i cały czas dbam, by nie zabrakło jednego z drugiego.

3 W czym jestem dobry...

Najszybciej na świecie potrafię zepsuć lub zgubić nową parę okularów, świetnie przypalam garnek z samą wodą i jestem absolutnym mistrzem w brudzeniu się pędzlem malarskim.

4 Co jeszcze chcę osiągnąć...

Chciałbym aby Śrem był najbardziej przyjaznym miasteczkiem na świecie dla rowerzystów i niepełnosprawnych. Żeby na hasło – ścieżka rowerowa w Google, wyszukiwały zdjęcia ze Śreму..

5 Co chcę w sobie zmienić...

Chciałbym orientować się w czasie. Data i godzina to dla mnie pojęcia bardzo względne i niemal abstrakcyjne. Przy okazji przepraszam wszystkich, którzy na mnie teraz czekają lub musieli czekać. Pocięszam się tym, że do niektórych przyszedłem o dzień wcześniej niż się umówiłem..

6 Co daje mi szczęście...

Raczej radość i zadowolenie. Osiągnięcia moich dzieci, świetne relacje z żoną, goście czujący się swobodnie u nas w domu, wartościowe rozmowy.

7 Najważniejszy dzień w moim życiu...

Nie ma jednego. Są chwile, które stały się częścią mnie i chyba z tych chwil się składam.

8 U przyjaciół najbardziej cenię...

Ich tolerancję dla moich wad i to, że wpadają bez zapowiedzi, bez umawiania się i pytania. Gdy sami robią sobie u mnie herbatę..

9 Bohaterstwo to dla mnie...

Sztuczny abstrakt służący do budowania mitów. Ogromnie cenię odwagę cywilną i stawanie wbrew głównemu nurtowi. To wymaga odwagi.

Epoka, w której chciałbym żyć...

Wszystkie poprzednie epoki były dużo gorsze..

Największym nieszczęściem byłoby dla mnie...

Powołanie do wojska. Armia i jej zasady są dla mnie filmem, w którym nie umiałbym zagrać nawet strażnika z halabardą..

Najcenniejsza rzecz, jaką posiadam...

Mam kilka pamiątek i zdjęć. Rzeczy to tylko rzeczy.

Moja największa wada...

Jestem pewien, że moi znajomi i rodzina mają ich długą listę.

Główna cecha charakteru...

Nieco nadpalony, a jednak wciąż entuzjazm.

Moje motto życiowe...

Życzliwość dla ludzi i dystans do rzeczy.

Ulubiony dźwięk...

Są miliony dźwięków, które lubię: dźwięk orzechów w dłoniach, linki stalowej uderzającej o maszt na wietrze, pierwszych kropli deszczu, parowozu, dziecięcia, chrzęst szczypioru pod nożem, dzwonka rowerowego, stukniętego przypadkiem fortepianu, echo ze studni, dudnienie ziemi pod kopytami galopujących koni. Świat dźwięków, to dla mnie cały kosmos.

Dźwięk, który mnie denerwuje...

Muszę wyjść gdy słyszę wyschnięty pisak trący o papier.

Nie mógłbym żyć bez...

Wędkarzy. Wędkarze budzą we mnie ogromną czołość. Zawsze się o nich martwię. Gdy o świcie, jeszcze we mgle, jadą dzielnie rowerem w kaleszach, obławowani jak na wojnę. Smutny byłby świat bez wędkarzy.

Co wzbudza we mnie lęk...

Pędzący samochód na drodze bez ścieżki rowerowej.

Moje ukryte marzenie...

Dyrygować Berlińską Orkiestrą Filharmoniczną scherzo Paula Dukasa „Uczeń Czarnoksiężnika”.

Tam się dużo dzieje. Zaczynają smyczki od pizzicato, potem flety, oboje itd. Byłoby też zabawnie mieć frak.

Dar natury, który chciałbym posiadać...

Posiadamy wszystkie dary natury. Nic nam nie potrzeba.

Zawsze śmiesz mnie...

Angielski i czeski humor.

Słowo, którego nadużywam...

Zaraz.

Zdanie o mnie, które zapamiętałem...

Nie pamiętam.

Mysł, która pojawia się, gdy nie jest najlepiej...

Wszystko minie.

Osobie bliskiej nigdy nie wybaczę...

Gdy mi powie, że jestem niski. Zawsze miałem kompleks i chciałem być wysoki. Nawet w starym dowodzie osobistym dodałem sobie trzy centymetry.

Wolność to dla mnie...

Dojrzałem do tego, aby we własnym subiektywnym odczuciu czuć się wolnym człowiekiem. Mam poczucie, że to ja zdecydowałem o tym, kim jestem i co robię. To jest chyba wolność.

Kim chciałbym być, gdybym nie był tym, kim jestem...

Dyrygentem Berlińskiej Orkiestry Filharmonicznej albo szefem firmy projektującej najlepsze miasta dla rowerów.

Obecny stan mojego umysłu...

Nieustająca burza z piorunami.

Kim chcę zostać w pamięci innych...

To kim się czujemy i to jak jesteśmy postrzegani, to są dwa odległe światy. Gdybym postępował kierując się tym, jak widzą mnie inni nie byłbym sobą. W przeważającej mierze pamięć o nas, będzie – jeśli w ogóle, w umysłach młodych ludzi. Młodzi zapamiętają pewnie takiego siwego pana, który tędy przechodził.

Marta TOK

Tajemnica angielskiego domu

Opowiadanie w pięciu częściach

Część 1 – SZMERY

Alicja nie pochodziła z krainy czarów tylko z małego miasta w Wielkopolsce. W dodatku ostatnio spierdoliła sobie życie w sposób mistrzowski. O czarach nie mogło być więc mowy. Po rozstaniu, z jej wyłącznie winy, z sympatycznym człowiekiem, który przez ostatnie trzydzieści lat był jej mężem, wylądowała nieoczekiwanie tutaj, na wygnaniu, tysiące kilometrów od domu, zawdzięczając chwilowy azyl synowi. Ten wykazał się zrozumieniem godnym lepszej sprawy... No, ale w końcu kochali się, ona i syn, miłością bezwarunkową. Tak więc przed dwoma tygodniami znalazła się w Stony Stratford, angielskiej malowniczej dziurze osiemdziesiąt mil od Londynu. Nie było to nawet miasteczko, tylko duża wioska rozłożona wokół jednej, długiej ulicy z małutkimi sklepami, fryzjerem, jednym pubem, hotelem Pod Kogutem i dwiema czynnymi restauracjami – turecką i hinduską. Nie licząc kilku fast foodów rozwożących w godzinach posiłków „karmę”, bo trudno byłoby nazwać jedzeniem to, co serwowali.

Syn Alicji, archeolog, wyjechał wraz ze swoją partnerką na kilkumiesięczne wykopaliska do Turcji, dzięki czemu mogła zamieszkać w ich małutkim wiktoriańskim domu w Stony, by pozbierać do kupy swoje popieprzone obecnie życie i zobaczyć, co robić dalej. Klucze przekazała jej mieszkająca nieopodal Helen, przyjaciółka pary. Niezawodni znajomi znaleźli Alicji niewielką robotę tłumaczki w instytucji pracującej dla Tate Moderne, gdzie cztery razy w tygodniu miała przygotowywać na kolejną wystawę katalogi po rosyjsku i polsku. Nie płacili wiele, ale na szczęście zwracali koszty podróży między Londynem, a Stony Stratford. Wystarczało, by Alicja miała

jako taki komfort finansowy, nie mówiąc już o psychicznym. Czyli jak zwykle miała więcej szczęścia niż rozumu, myślała sobie, jadąc szybką koleją w tłumie wracających do domu podmiejskich londyńczyków. Z dworca, jeśli udało jej się zdążyć, w dziesięć minut docierała autobusem do Stony, a potem kilka kroków i już była na długiej, spokojnej Park Road, pełnej jednopiętrowych szeregowców z czerwonej cegły, nieomal identycznych, różniących się tylko kolorowymi drzwiami.

Dom syna miał drzwi granatowe. Wchodziło się do wąskiego korytarzyka, a z niego bezpośrednio do living roomu i jadalni z małutką kuchnią, zaś po wąziutkich schodach można było, na czworakach – w wypadku Alicji – wgramolić się na piętro z trzema sypialniami. Prawdziwy domek dla krasnoludków. Ale uroczy. Alicja lubiła przytulne pluszowe kanapy przy drewnianym, rzeźbionym kominku, półki pełne książek i rustykalną przeszkloną szafę w jadalni z mnóstwem zabytkowych szklanek i kieliszków, tak delikatnych, że strach było z nich pić. Jej niepokój budziły tylko wychodzące na ogród drzwi tuż za kuchnią. Wyglądały tak lichy, że każdy mógł sforsować je jednym kopnięciem. Ale starała się o tym nie myśleć, kiedy zasypiając na górze słyszała trzaski, huki i westchnienia starego domu. Jednego z pierwszych dni wydało jej się, że szmery dochodzą z góry, z nieużywanego strychu, do którego prowadziły drzwiczki umieszczone w jednej trzeciej pomiędzy podłogą a dachem, dostępne prawdopodobnie tylko za pomocą drabiny... Obudziło ją jakby trzaśnięcie i kroki nad głową. Najpierw wystraszona leżała wstrzymując oddech, ale potem pomyślała o sąsiadach w bliźniaczym domku obok i uspokojona zasnęła ponownie.

Jednak następnego dnia, kiedy przed wyjazdem do pracy zajrzała dyskretnie przez okno do sąsiedniego domu, zobaczyła jedynie pusty salon i zwisającą z sufitu gołą żarówkę. O, rany... – szepnęła do siebie czując przyływ lęku. To kto się tam tak telepie po nocy? Może jacyś skwathrzy? Czyżbym była tu zupełnie sama? Potem jednak spostrzegła światło w bliźniaku przyklejonym do domu syna z drugiej strony i uspokojona powędrowała na autobus. Z dworca nowoczesny pociąg jechał szybko i sprawnie na Euston w centrum Londynu, skąd Alicja miała do pracy już tylko cztery przystanki metrem. W sumie droga zabierała jej niecałe półtorej godziny, co nie było jakoś strasznie uciążliwe. Zwłaszcza rano lubiła tę podróż przez ładne angielskie miasteczka. Gorzej było w metrze nazywanym tu „tubą” – mnóstwo ludzi, ścisk i duchota, strach się bać krążących w tej ciżbie mikrobów, ale trwało to na szczęście krótko. Wieczorem wracała najczęściej przed godzinami szczytu. Podmiejski pociąg sunął w zimowym mroku jakby sennie i wolniej, co czasami usypiało ją na moment, nawet kiedy czytała książkę. Na ogół jednak obserwowała oświetlone okna domów. Widać było przez nie fragmenty toczącego się życia. Ktoś oglądał telewizor albo nakrywał do stołu, ktoś krzątał się po małej kuchni w kolejnym domu dla lalek, albo wręcz przeciwnie opalał się na obszernym tarasie nowoczesnej willi, bo i takie były na przedmieściach Londynu. Patrząc na te szybko mijane, przelatujące w tempie pospiesznego pociągu okruciny życia, Alicji robiło się czasami trochę smutno. Bardziej niż zwykle odczuwała swoją samotność.

Tego wieczoru szła wolno główną ulicą Stony przyglądając się kolorowym przedmiotom w witrynach. Były tam wielkie ilości okolicznościowych kubków i filiżanek z chińskiej porcelany, olbrzymi wybór wymyślnych kartek z życzeniami, a także śmieszne ciuchy z lat sześćdziesiątych. Na wystawie u antykwariusza leżały dziwne, powykręcane fajki, drewniane stołki z dziurami, skórzane walizy z innej epoki i inne stare przedmioty, których przeznaczenia trudno było się domyśleć. A na fotelu, w eleganckim salonie fryzjerskim w stylu *fin de siècle*, siedziała dziewczyna poddając się profesjonalnym zabiegom fryzjera. Alicja stanęła i z przyjemnością przyglądała się chwilę jego sprawnym ruchom do

momentu, kiedy spostrzegła w jednym z luster swoje odbicie: starsza, korpulentna pani w zielonym trenczu, z potarganymi włosami. Przyspieszyła kroku, myśląc już tylko o szklaneczce ginu z tonikiem, który sobie zaadministruje przed kolacją. Parę dni temu, w drodze do domu, zrobiła większe zakupy w Tesco i nawet nie drgnęła jej ręka, kiedy płaciła za wielką butelkę Opihr ginu, ulubionego trunku syna, bez mała czterdzieści funtów. Dziś czuła, że zdecydowanie nadszedł czas na napoczęcie butelki. *Oh, yes!*

Jednak, kiedy otworzyła drzwi do domu usłyszała jakiś dźwięk. Zatrzymała się w pół kroku... Znowu miała nieodparte wrażenie, że ktoś tam jest... Helen? Halooo! – zawołała niepewnie w głąb domu... Ale odpowiedziała jej głucha cisza. Cofnęła się na ulicę i spojrzała na sąsiednie budynki. W większości okien paliły się światła. Nieco uspokojona weszła do domu i zamknęła drzwi za sobą. Zdjęła trencz i zrzuciła buty, po czym weszła do salonu i szybko, z duszą na ramieniu zapaliła wszystkie lampy. Głupia jestem – skarciła się w duchu. Jednak dopiero, kiedy włączyła radio, BBC 4 i usłyszała mówiącego brytyjski akcent spikera, odetchnęła z ulgą.

Muszę się w końcu napić, westchnęła. Ale kiedy weszła do małej kuchni z ciemnym oknem na podwórko poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Na stole stała pękata butelka ginu. Otwarta. I niewątpliwie napoczęta. Alicja zamarła...

Leszek MAŃKOWSKI

Kaganiec na krużganku

Na oparach

O tym, że w lutym powinna być zima (a jak zima, to zimno) przypominają obrazki z pekińskich igrzysk. Bo nam wiosna się napatoczyła w połowie lutego miesiąca, anomalia jakaś. Przy okazji znów widać problem z nazwami miesięcy. Jak tu wyjaśnić dzieciom, skąd się wzięła nazwa „luty”, bo nie wystarczy przetłumaczyć słowa na „srogi”. Trzeba się chyba odwołać do historii (o!), do panujących kiedyś w tym czasie srogich mrozów. Podobnie w przypadku sierpnia: po co były te sierpy i co żęli nimi zniwiarze... Kłopot z nazwami, że o takim „październiku” to już szkoda gadać. Kto by się tam edukacją przejmował.

A podobno na naukę nigdy nie jest za późno. Jeśli to prawda, to skąd powiedzenie „stary i głupi”? Brzmi tu jakaś nutka zdziwienia, gdyż chyba bardziej naturalne jest, że głupi może sobie być młody, taki który ma jeszcze przed sobą nabywanie życiowej mądrości. Mawiam tak do siebie, żem stary, a głupi, bo co jakiś czas łapię się na tym, iż przez taki szmat czasu nie nauczyłem się prostych rzeczy, albo – że już to przerabiałem i znów zapomniałem. I wcale nie pociesza mnie fakt, że starych i głupich, a także tych młodszych i nie mądrzejszych, są miliony. Ani też to, że głupota może się różnorako objawiać, że przypadłość ta może mieć ostrzejszy, groźniejszy, bardziej szkodliwy przebieg.

Znam faceta, który czuł się skrzywdzony przez „solidaruchów”, bo to z ich winy musiał być stan wojenny i dlatego on odsłużył w ludowym wojsku pół roku więcej niż należało. Bo tak go wtedy w koszarach wyedukowali, tak tam czerpał wiedzę z telewizyjnego dziennika, że aż w to uwierzył i na długie lata zapamiętał... Inny facet głosił, że do jego kościoła „tamten czerwony” nie ma wstępu. Bo to jest jego kościół, do którego on od zawsze co niedzielę chodzi i z całą swą rodziną się

modli... Teraz sąsiadka wytrwale podąża do urn, żeby głosować na tych, co „dają” jej te waloryzacje i in. Bo oni tak dbają o ludzi jak żadna inna władza... No a ja się wciąż dziwię – taki stary, a jednak głupi.

Ludzie stale deklarują zaufanie do tych, którzy opowiadają im takie rzeczy, że bracia Grimm się wstydzą – że cokolwiek kiedykolwiek napisali. Bo przy takich liderach zaufania owi bracia wyglądają na nieporadnie piszących przedszkolaków. Ciesząc się z ufności ufających, oni, ci liderzy dzielą się swoją wiedzą i mądrością z ufnym audytorium. A ponieważ publika nie jest jednorodna, to mają zawsze dla każdego coś, co mu będzie pasowało. Jednych przeraża, drugich utwierdza, innym dadzą poczucie spokoju, radości, dumy.

Informują. Z regularnością pogodynki, niczym sportowi komentatorzy sprawozdają, podają liczby – i tych, którzy przegrywają z wirusem (i covidowych łóżek do zajęcia), i tamtych, którzy próbują przedostać się do nas przez kolczaste płoty. Oni komentują, interpretują na każdy temat. I ani nadawców, ani odbiorców nie uwiera, że to wieczorne nijak się ma do tego porannego, a jedno i drugie z rozsądkiem zdrowym może się nie spotkać. Dbają jednak o stan nerwów odbiorców, precedzają wieści, mówią widzowi, jak należy je, znaczy te wieści, rozumieć i do kogo należy mieć pretensje. Z troski o psychiczny dobrostan suwerennego elektoratu zamiast dni żałoby narodowej oni serwują mu stosowną, patriotyczną rozrywkę.

Edukują. Uczą trudnych wyrazów. Ostatnio na topie: anomalia poświęteczna (delta, omikron), imposybilizm (nic nie mogę – szef), deflacja (miała być), inflacja (jest), nowelizacje (flagowy program), walec (wyrównuje), jęczyzek u wagi

(kilkoro na kanapie) i – zawsze – suwerenność (w opozycji do praworządności). Obok statystyki i ekonomii przerabiają genetykę. Odkryli, że Polacy mają geny sprzeciwu i geny buntu – więc nie można ich niepokoić obostrzeniami, więc Polaków nie niepokoją. Nie powiedzieli nic o genie kapusiostwa, za to przygotowali stosowne ukazy. Projekt nie był sprawiedliwy – przywilej kapowania mieli dostać pracujący, a emerycki suweren nie mógłby donosić np. na panie z drugiej strony lady – i słusznie upadł.

Oni na scenie są silni, chociaż jakby już mniej zwarci. Ale – tu constans – gotowi na wszystko. Gdy ich napastnik strzela gola ręką na spalonym, oni głośno artykułują swoje pretensje do sędziogo – i krzyczą, że jak gola im nie uzna, to oni swoich sędziów mają. To jest dla widzów. A widzownia klaszcze, cieszy się, albo ze zrozumieniem kiwa głową, albo z rezygnacją macha ręką... A oni też znają swoje miejsce w swoim szeregu i wiedzą co, ile, komu się należy. Z mównicy podczas rytualnego wyrażania wdzięczności i składania dzięków spojrzenia kierują tam, gdzie trzeba. A jeśli osoba akurat tam nie zasiada, to oddają co należne pustemu fotelowi. To pewnie jeden z ich złotych cielców, ten fotel. Czerpią przecież wiedzę wybraną ze starych i świętych ksiąg, uwspółcześniają Mojżeszowe dzieło. I kto mówi, że oni tacy... jacyś niedzisiejsi (w znaczeniu: anachroniczni) są?

Wracając do polskich genów... Mamy (czy wszyscy?), mamy mieć gen patriotyzmu. Od dawna prawi członkowie narodu mówią o dziedziczeniu cech patriotycznych (niepatriotycznych też). Jeden z wybranych powiedział był, że „jeśli rodzina kandydata walczyła o Polskę, o niepodległość, dziadek był w AK, a pradziad uczestniczył w powstaniu styczniowym, to taki ktoś daje nam gwarancję genetycznego patriotyzmu”. A teraz w krainie łysymi górami słynnej powstał ponoć podręcznik. I coraz śmielej zgłasza on, ten podręcznik, aspiracje bycia obowiązkowym w ojczyźnie naszej kochanej. Z niego, z tego podręcznika, dzieci dowiedzą się, że: „Nasze góry są najładniejsze, nasze morze jest najładniejsze, nasze jeziora i lasy też są najładniejsze. U nas wszystko jest najlepsze, bo polskie. Mama i tata też, bo oni są Polakami. Babcia i dziadek też są Polakami. I pradziadek też był Polakiem, ale Polski wtedy nie było i teraz jest. Polska jest najlepsza, ale inne

kraje też mogą być dobre, zwłaszcza podczas wakacji. [...] To wspaniale, że ja się już urodziłam Polką, bo ten kraj kocham najbardziej. Ciężko by mi było kochać Polskę, gdybym mieszkała daleko i nie znała jej dobrze. Biedni ci cudzoziemcy”. Biedni ci tuziemcy...

Genetyka rozwija się dynamicznie, badania polskiego genomu także. Może się potwierdzić hipoteza sprzężenia genu patriotyzmu z genem cnót niewieścich. I niech nikt nie mówi, że edukacja narodowa jest nieważna. Ale – czy będą badania nad genem głupoty, narodowej, polskiej głupoty? Zaciekało mnie, skąd pochodzi słowo „idiota”. Otóż jest to słowo z języka starogreckiego, określenie postawy osoby skupionej na swoim prywatnym życiu, takiej która nie bierze udziału w życiu politycznym. Dla starożytnych Greków wycofanie się w prywatność oznaczało wręcz utratę pełni człowieczeństwa i możliwości pełnego rozwoju, dlatego taką osobę traktowano, w kontekście braku jej aktywności w życiu publicznym, jako upośledzoną. Dzisiaj termin „idiota” ma inne znaczenie, ale... czasem może chyba mieć coś wspólnego z tym antykiem. Często, zbyt często widać, że niewiele oczekujemy od siebie – za to uważamy, że wszystko ma załatwić ktoś inny. Po co iść do urny? Niech idą inni, obojętnie kogo wybiorą, wszyscy nic nie warci. Wyrazić sprzeciw szkodliwym poczynaniom władzy, po co? Przecież to nic nie da, to mnie nie dotyczy... Czas społecznej anomii i degrengolady. Oparry absurdu. Rozum śpi. Głupota się rozpanoszyła, i wcale nie chce wiedzieć, że głupota jest. Więcej, głupota chce innych ogłupiać – ogłosili wszak publicznie chłopcy narodowcy, że poniosą (na zachód) „krużganek oświaty”. A Słowacki wzywał, żeby przed narodem nieść oświaty kaganiec... Kłopoty ze staropolszczyzną. Ale, niech ich tam nawet ten krużganek oświeci (gdy o niego wyróżną), byle oświecił.

Nudzę, nudzę, nosem kręcę. Przy okazji: kto pamięta wiersz Brzechwy „Na straganie”, jego zakończenie?

Kiedy byłem małym chłopcem, wdawałem się rzecz jasna w uporczywe sprzeczki. Wtedy i mama, i babcia mówiły mi: „ustąp, bądź mądrzejszy”. Z trudem, bo z trudem, może w końcu bym w to uwierzył, ale... Kiedy już dużym chłopcem byłem, zobaczyłem napis na murze: „Mądry głupiemu ustępuje i dlatego ten świat tak wygląda”.

Marek KOPEĆ

Tam i z powrotem, czyli polsko-włoskie historie z winem w tle

Degustując kieliszek wina Primo Fuoco Rosso Toscana IGT 2016, czy Primo Fuoco Bianco IGT 2017, któż by pomyślał ile się za tymi winami kryje polskich historii toczących się w Italii. Wspomnijmy tu np. Józefa Wybickiego, któremu poświęcony jest rok 2022. Napisał on, jak wiemy, słowa *Mazurka Dąbrowskiego* właśnie w Italii, w Reggio nell'Emilia. Wtedy w całej tej polskiej sprawie wojen napoleońskich przewija się także szlacheckie nazwisko Dzieduszyckich herbu Sas. Nazwisko to właśnie przeczytamy na etykietach wyżej wymienionych polsko-włoskich win. Próbując ich możemy przytoczyć słowa refrenu *Mazurka Dąbrowskiego*: „z ziemi włoskiej do Polski”. Wcześniej jednak z ziemi polskiej do Włoch... A było tak...

W 1867 roku budynek do produkcji ceramiki i terakoty we Florencji, wraz z przylegającym do niego kościołem San Lorenzo i gospodarstwem, kupuje polski szlachcic Michał Dzieduszycki, który przebywa na dworze wiedeńskim. Jego syn Maurycy, miłośnik renesansowej sztuki i literatury, żeni się z Włoszką i zamieszkuje na stałe w Italii. Następnie syn Maurycego, Massimo daje początek profesjonalnej już produkcji i sprzedaży wysokiej jakości wina i oliwy, co kontynuuje Andrea, syn Massima.

Co do samego kościoła San Lorenzo, został on zbudowany w 1421 roku w miejscu rzymskiej świątyni z roku 393. Jego projektem zajął się wybitny florencki architekt Filippo Brunelleschi. W kościele znajdują się liczne dzieła sztuki wy-





Męczeństwo św. Wawrzyńca, Bronzino, fragment fresku

bitnych artystów. Między innymi drewniany krucyfiks Antonia del Pollaiuolo, obraz *Zwiastowanie* Filippa Lippi, rzeźba *Madonna z dziećmi* Giovanniego Fetti, czy fresk Bronzina *Męczeństwo św. Wawrzyńca*. Do kościoła przylega Biblioteka Medyceuszy Laurenziana, w której znajdują się listy króla Jana III Sobieskiego do umiłowanej Marysieńki (kolejny miły polski akcent w Italii).

Dziś nad Fattoria di Sammontana, miejscem produkcji win, ręce trzymają synowie Andrei i jego żony Francesci – Daniele i Lorenzo. Fattoria znajduje się w gminie Montelupo Fiorentino, około 20 km na południe od Florencji. Gospodarstwo jest prowadzone ekologicznie i z wymogami biodynamiki. Część win dojrzewa w terakotowych amforach, co przekłada się na niezwykłą ich jakość. A jakie one są wystarczy się przekonać

udając się do Toskanii. Tam, w idealnej oprawie, u ich źródeł i wśród szeroko pojętego *genius loci*, szukajmy ich na półkach enotek lub w samej Fattorii. Potem zajrzyjmy koniecznie do kościoła San Lorenzo, by delektować się jego wnętrzami i dziełami sztuki. Następnie popijmy to wszystko winami Dzieduszyckich, płynnymi dziełami sztuki, jakimi są niewątpliwie te dobrze zrobione wina.

„CZEŚĆ LONGER” – historia pewnego wydawnictwa i pewnego psa

Parę lat temu w rubryce Nasz talent przedstawiałam Wiktorię Bukową (GŚ 1/2/2014) i jej brata Michała Bukowego (GŚ 11/12/2016). Zaczynali dopiero... W 2018 roku pokazaliśmy rysunki Michała w naszej Galerii. Minęło parę lat. Zobaczmy co u nich słysząc, tym bardziej że w grudniu ubiegłego roku założyli wydawnictwo i wydali pierwszą książkę.

Proszę przedstawcie się. Kim jesteście?

Wiktoria: Przede wszystkim rodzeństwem, a teraz już partnerami we wspólnym projekcie wydawnictwa książek dla dzieci „Wydmy”. Ukończyłam Intermedia na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu, w trakcie studiów już zaczęłam interesować się modelami edukacji alternatywnej. Zaczęłam pracę z dziećmi, najpierw w szkole demokratycznej, później w Stowarzyszeniu Kolektyw Edukacyjny. Ta praca pozwoliła mi na zbudowanie sieci kontaktów z rodzicami, którzy w sposób świadomy wychowują swoje dzieci, ale przede wszystkim dała możliwość zobaczenia jak odmienne jest współczesne dzieciństwo, jak ważne, aby w mądry sposób pomóc dzieciom nawigować w świecie katastrof klimatycznych, postępującej cyfryzacji czy problemów wykluczenia. Poza tym zaczęłam niedawno zupełnie nowe studia we Wrocławiu, więc za 1,5 roku, jak dobrze pójdzie, będę terapeutką.

Michał: Jestem ilustratorem, zawodowo bawię się w to ponad pięć lat. Ostatnim ciekawym projektem, w którym brałem udział, było współtworzenie serialu animowanego dla dzieci *Odo*, który w Polsce można obejrzeć na kanale MiniMini.

Jak to wszystko się zaczęło?

Wiktoria: Pandemia bardzo zmieniła kierunki i drogi zawodowe, nie tylko nasze, ale wielu ludzi.

Myślę, że jesteśmy typowym przykładem dwójki kreatywnych osób, która po prostu musiała wziąć sprawy w swoje ręce i wymyślić sposób na odnalezienie się w nowej rzeczywistości.

Michał: Dokładnie rok temu w styczniu, znalazłem ogłoszenie o dofinansowaniu na otwarcie działalności i wysłałem je do Wiki. Dwa dni później mieliśmy wypełniony wniosek.

Skąd pomysł na wydawnictwo?

Michał: Już wcześniej dużo rozmawialiśmy o połączeniu sił w jakimś wspólnym działaniu. Myśleliśmy o prowadzeniu studia projektowego. Oboje pracowaliśmy jako freelancerzy, więc to był pierwszy pomysł, jaki wpadł nam do głowy.

Wiktoria: Michał dużo ilustrował, szczególnie dla klientów z zagranicy. Pamiętam, jak skarżył się, że potrzebuje więcej swobody w kwestii tworzenia i męczy go praca na odległość. Czuliśmy, że chcemy być trochę bardziej niezależni, że zakładanie agencji będzie podobne do tego, co już robiliśmy dotychczas. Pociąga nas samostanowienie i nieograniczona możliwość rozwoju projektów, którym sami nadajemy kształt.

Michał: Miałem kilka zleceń na ilustrowanie książek i przyznam szczerze, że te prace mnie najbardziej kręciły. Zaczęłam trochę gadać o tym z Wiktoria i stwierdziliśmy, że może to będzie dobry pomysł, żeby realizować własne pomysły. Mamy wszystkie umiejętności, jakie potrzeba do stworzenia książki, a nasza pierwsza jest tego dowodem.

Wiktoria: Kiedy składaliśmy wniosek na dofinansowanie, tak naprawdę trudno nam było ocenić szanse na dostanie dotacji. Proces rekrutacji najlepszych biznesplanów był wieloetapowy. W styczniu przyjęto ok. 300 wniosków, żeby w czerwcu wybrać najlepsze 80. Nasz zajął 21



miejsce i do dziś nie mogę uwierzyć, że to się udało. Gdyby nie dofinansowanie pewnie nie wystartowalibyśmy z tym wszystkim, a z pewnością nie w tym czasie.

Wszystko w zasadzie zrobiliście sami... tekst, ilustracje, skład... Skąd te umiejętności?

Michał: Wiktoria zajmowała się składem i promocją, a ja tekstem i ilustracjami. U mnie to wygląda tak, że bardzo często, gdy angażuję się

w projekt, widzę go jakby w całości. Chcieliśmy, żeby tekst był napisany przez kogoś, kto się na tym zna, ma doświadczenie literackie. Jednak w trakcie pracy, szczególnie przy tworzeniu koncepcji książki, zauważyłem, że dokładnie wiem, jak to ma wyglądać. Jak chcę, żeby to wyglądało. Dużo o tym rozmawialiśmy i Wiktoria zasugerowała, żebym może ją napisał. Początkowo uznałem to za szaleństwo, ale myślę, że to była bardzo ciekawa przygoda. Cieszę się, że mi zaufała.

Wiktoria: Naszą ogromną siłą, jest wrażliwe, kreatywne usposobienie. Przeniesienie praktyki artystycznej na sam proces tworzenia książki w naszym odczuciu daje możliwość przekazania czegoś więcej poza samym „wrażeniem estetycznym”. Nasze doświadczenie projektowe, szlifowany przez lata warsztat dały nam możliwość stworzenia książki od początku do końca.

Skąd pomysł na taką właśnie książkę?

Wiktoria: Tworząc koncepcję wydawnictwa, wiedzieliśmy, że chcemy wydawać wyjątkowe książki (pewnie nic w tym wyjątkowego, bo każdy chce przecież się wyróżnić). Zaczęliśmy dużo myśleć, czym dla nas jest wyjątkowość, inność. My dostrzegamy ją w prostych, codziennych rzeczach. Longer, bohater naszej książki, ma bardzo krótkie łapy i ogromną determinację, żeby konfrontować się ze światem. Co najważniejsze jest prawdziwą psią ikoną poznańskich Jeżyc i to chyba było najbardziej inspirujące.

Historia Longera to historia prawdziwego psa. Opowiedzcie o nim...

Michał: Uratowali go ludzie ze Stowarzyszenie Noe, którzy prowadzą cudowne schronisko w Dalabuszkach (niedaleko Gostynia). Później znalazł dom na poznańskich Jeżycach, gdzie stał się lokalnym celebrytą. Mimo krótkich łap, szybko zaznaczył swoją pozycję w obrębie dwóch przecznic i kilku kamienicznych podwórek. Ludzie często pytali: „jaka to rasa?” albo „czy wszystko z nim w porządku?”, odwracali się na ulicy i rzucali: „to ten pies z filmu Maska?”, albo „na jakiej siłowni on pakuje?”. Wygląda jak skrzyżowanie jamnika z Jackiem Russellem. Kto zna te rasy, to wie, że mają swój charakter.

Wiktoria: Ulubionym zajęciem Longera jest tropienie szczurów. Niskorosłość wcale nie przeszkadza mu w dorwaniu niejednego mieszkańca śmietników i dziur w chodniku. Wieczory często spędza w lokalnej winiarni, gdzie w kuchni pracował jego właściciel. Oprócz tego, że jada jak król, to jeszcze uwielbia przesiadywać na kolanach gości, którzy kochają jego psie towarzystwo i obdarzają toną czułości. Także można sobie wyobrazić tę osobowość i emocje, jakie wokół siebie rozlatcza.

Jakie jest przesłanie książki, bo to jednak nie tylko historyjka o psie...

Wiktoria: To historia małego psa o krótkich łapach, który dostrzega piękno w codziennych spotkaniach z innymi, i w sposób czuły i uważny komunikuje się ze światem, dostrzegając pełne spektrum emocji. Książka przybliży temat samoakceptacji i miłości do siebie, a także staje się narzędziem do pokonywania własnych kompleksów czy narzuconych stereotypów. Książka adresowana jest do czytelników w wieku 5-7 lat. Jest to moment, kiedy dziecko spotyka się z rówieśnikami w przedszkolu czy zaczyna szkołę. Konfrontacja z innymi bywa często wyzwaniem dla malucha, stąd myśl, że temat może zainteresować rodziców i być pomocny w pracy z dzieckiem.

A jakie są wasze najbliższe plany?

Wiktoria: To jest ciekawy temat. U mnie wiele się zmienia w ostatnim czasie. Chyba jestem w miejscu, w którym weryfikuję wszystko, co ostatnio mnie spotkało i przyglądam się do czego to zmierza. Gdyby ktoś dwa lata temu powiedział mi, że będę prowadzić wydawnictwo, to z pewnością bym nie uwierzyła. Uczę się mnóstwa nowych rzeczy i czuję, że chcę rozwijać nowe umiejętności i być otwartą na pojawiające się możliwości.

Michał: Chcę dalej rozwijać swój warsztat i ilustrować książki. Zobaczymy jak z pisaniem. Zakładamy, że to początek serii, ale jeszcze nie wiem czy chciałbym pisać kolejne przygody. Może teraz czas na Wiktorię.

Wiktoria: Podjęliśmy decyzję, że spróbujemy rozwijać „Wydmy”. Z pewnością nie będzie to zwykłe wydawnictwo. I czy w ogóle będzie to wydawnictwo? Sami widzimy, jak dynamiczny jest ten projekt i jak wiele czynników ma na niego wpływ. Od kryzysu papierniczego, po zmieniający się rynek książki, który jeszcze ciągle jest dla nas obcy. Mamy świadomość, że poziom czytelnictwa w Polsce spada i pewnie nie zmieni się to w ciągu najbliższych lat. Dlatego widzimy potencjał w rozwijaniu społeczności wokół projektu. Postanowiłam założyć „bloga na Wydmach”, gdzie prowadzę rozmowy z ciekawymi ludźmi, piszę teksty na temat rozwoju, kreatywności i edukacji. Doświadczenie dziewięciu lat w edukacji alternatywnej dało mi sporo nowych perspektyw patrzenia na człowieka i jego rozwój.



Michał: Planujemy wydawać książki dla dzieci, przede wszystkim dlatego, że dają możliwość kreatywnego wyrazu, przekazywania treści w formie bardziej artystycznej. Mimo spadającej średniej czytelnictwa w Polsce, dorośli nadal chętnie czytają książki dzieciom. Ulubiona książka dziecka staje się jego przyjacielem, jest zabierana na spacer, wakacje, usypia, może być nie tylko czytana ale też oglądana. Widzimy w tym duży potencjał, szczególnie jeśli chodzi o książki, które poza atrakcyjnością wizualną posiadają także inne walory. Książka dla dzieci może stać się pretekstem do poruszania wartościowych tematów, narzędziem pomocnym w rozwoju emocjonalnym, wzmacnianiu pozytywnych wzorców i radzeniu sobie z problemami.

Macie jakieś marzenia?

Wiktoria: Mam ich mnóstwo, ale teraz czuję, że wreszcie jestem na drodze do ich realizacji. Ma-

rzy mi się, żeby „Wydmy” stały się miejscem, wyszły z przestrzeni wirtualnej, stanowiły przestrzeń do rozwoju, kreatywnych warsztatów, tworzenia książek i cegółkolwiek nie wymyślimy. Żeby pachniało tam dobrą kawą i żeby każdy mógł znaleźć tam dla siebie coś wyjątkowego. Chciałabym, żebyśmy mogli realizować pomysły z radością, nawet te najbardziej szalone i nie przejmować się tym, czy to się sprzeda, czy nie. Wierzę w naszą intuicję, bo ona gdzieś nas prowadzi, nawet jeśli nie wiemy jeszcze do końca dokąd.

Michał: Jestem pewien, że tak będzie. Idziemy w dobrą stronę.

Dziękuję za rozmowę i życzeń powodzenia.

Z Wiktorią Bukową i Michałem Bukowym rozmawiała Ewa Nowak

Bartosz KLIMCZUK

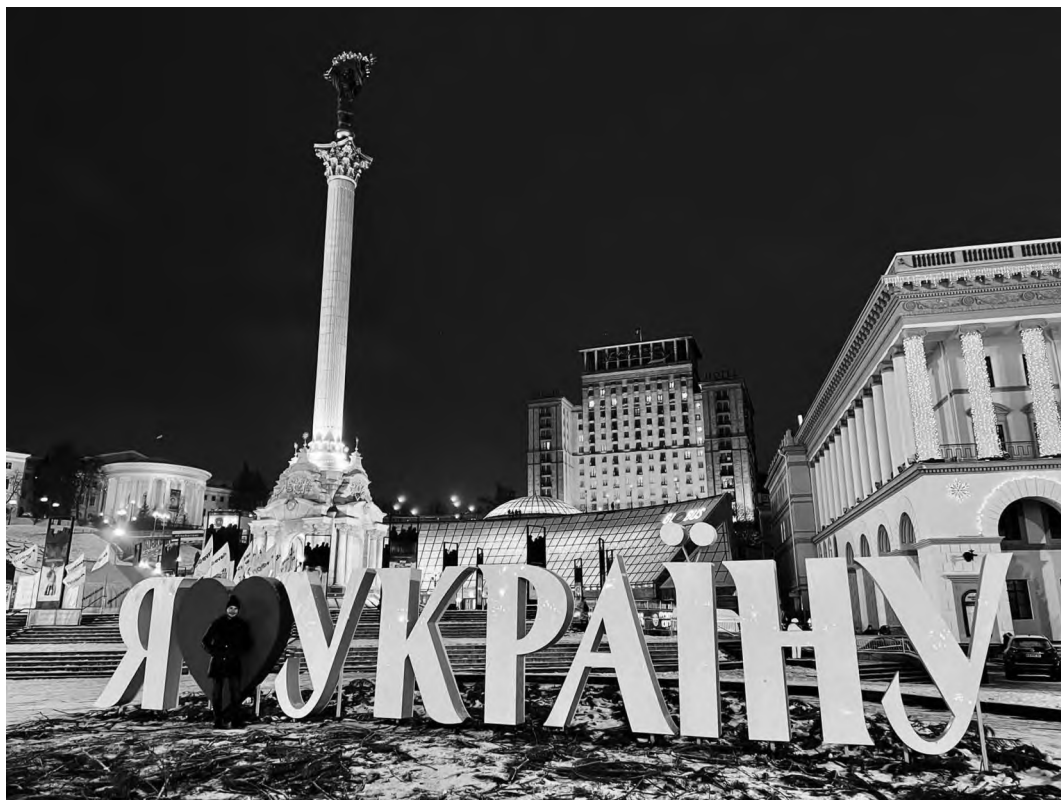
Gdy Polacy mówili o wojnie, Ukraińcy szykowali się do świąt

Uwielbiam klimat świąt Bożego Narodzenia. Pisząc to, nie mam na myśli wyłącznie tych kilku sympatycznych chwil spędzonych podczas wigilii w rodzinnym gronie przy suto zastawionym stole. Mentalne przygotowywanie się do grudniowych świąt rozpoczynam mniej więcej w czasie, gdy w sklepach pojawiają się pierwsze produkty z brodatym panem w czerwonej czapce, a stacje radiowe, na razie dosyć nieśmiało, zaczynają puszczać *Last Christmas* zespołu Wham. Boże Narodzenie przyjmuję z lubością z całym „dobrodziejstwem inwentarza”, od zachwywania się niekiedy kiczowatymi ozdobami i oglądaniem niezbyt udanych filmów okołoświątecznych, przez przystrajanie domu co roku większą liczbą kolorowych światełek, na śpiewaniu tradycyjnych kolęd i dzieleniu się opłatkiem kończąc. Moja miłość do tego okresu jest tak duża, że w zeszłym roku postanowiłem sobie święta Bożego Narodzenia trochę przedłużyć. W jaki sposób? Ano w taki, żeby zaraz po katolickich obchodach wsiąść w samolot i wyruszyć do jakiegoś prawosławnego kraju, gdzie największa gorączka świąteczna dopiero co się zaczyna. Otworzyłem cyfrową mapę świata i po krótkiej analizie obowiązujących w różnych państwach restrykcji covidowych, wybór padł na Ukrainę.

W momencie kiedy kupowałem bilet lotniczy nikt jeszcze nie mówił, że być może za parę miesięcy Rosja napadnie na Ukrainę. Nawet gdy już wsiadałem do samolotu, o tej sprawie pisały tylko niektóre media i to w sposób dosyć zdawkowy. Cała machina informacyjna rozkręciła się dopiero potem, gdy już byłem u naszych wschodnich sąsiadów. Co jednak ciekawe, o grożącym nam niebezpieczeństwie dowadywałem się wyłącznie od znajomych lub polskich mediów. Telewizję ukraińską oglądałem dosyć regularnie (zawsze

staram się w podróży nieco przyjrzeć się lokalnym mediom), a tam królowały zdecydowanie święta i zbliżający się Nowy Rok. Nawet kanały skupione na polityce relacjonowały na okrągło to co się dzieje w Kazachstanie, gdzie właśnie zaczęła się rewolucja, niż wspominały o koncentracji wojsk na granicy. Wprawdzie pewne patriotyczne wzmożenie było widoczne, szczególnie, gdy słuchało się noworocznego przemówienia prezydenta Ukrainy, Wołodymyra Zełenskiego, ale kontekst był tylko ledwie nakreślony. W tym czasie miałem okazję zapytać pewnego młodego Ukraińca, czy spodziewają się wojny i czy w związku z tym czuje strach. W odpowiedzi usłyszałem, że żadnego konfliktu na pewno nie będzie, że Putin chce tylko zastraszyć Ukrainę i Zachód i dlatego on, jak i jego znajomi, są spokojni. Do momentu kiedy skończyłem pisać ten tekst żadna wojna jeszcze nie wybuchła i mam nadzieję, że już nie wybuchnie.

Tak się akurat złożyło, że zanim z prawosławnymi zasiedliśmy do wspólnej wieczerzy wigilijnej, obchodziłem również swoje okrągłe, trzydzieste urodziny. Na Ukrainie byłem razem z „drugim Bartoszem”, który już miał doświadczenie w organizowaniu mi obchodów za granicą, więc i tym razem stanął na wysokości zadania. Jednym z moich urodzinowych prezentów była wyprawa 30 km za Kijów do „muzeum korupcji”, czyli byłej rezydencji obalonego w 2014 roku prezydenta Ukrainy, Wiktora Janukowycza. Za mniej więcej 100 zł od osoby można nie tylko przejść się po ogromnym terenie (około 200 hektarów), ale także z przewodnikiem zwiedzić wnętrze wielkiego domu. Janukowycz miał rozmach, bo na swoim ogrodzonym terenie postawił nie tylko pole golfowe czy zoo, ale także własną, małą cerkiew czy SPA z solarium, grota solną, pokojami



Kijów, Majdan Nezależnosti

masażu, siłownią, ringiem bokserskim i kręgielnią. Oprócz tego były prezydent Ukrainy wygrodził sobie własną część lasu i miał prywatny kawałek Dniepru z przylegającą do niego plażą. Sama rezydencja też robi wrażenie. Janukowycz lubował się w dziwnych wazonach z masy perłowej czy skór węża. Duża część domu jest postawiona z drewna sprowadzanego z Finlandii. Żeby przypadkiem byłemu prezydentowi nie było za zimno zimą, do jego własnego SPA z domu prowadził podziemny tunel. Jak powiedział nasz przewodnik, miesięczny koszt utrzymania tego wszystkiego wynosił mniej więcej 4 miliony dolarów. Cała rezydencja kosztowała zaś około 2 miliardy dolarów, wyłożonych oczywiście z publicznych pieniędzy. Podczas grudniowostyczniowego pobytu na Ukrainie miałem okazję zobaczyć jeszcze jedno miejsce, które skrywa w sobie wiele bolesnych historii.

W mieście Prypeć na północy Ukrainy wesołe miasteczko miało zostać oficjalnie otwarte 1 maja 1986 roku w Święto Pracy. Katastrofa w czarnobylskiej elektrowni jądrowej pokrzyżowała jednak te plany i zamiast świętowania, mieszkańców czekała przymusowa ewakuacja. Obecnie miasto jest całkowicie wymarłe, choć po latach niektóre starsze osoby postanowiły nielegalnie wrócić w rodzinne strony i zamieszkać w na wpół zniszczonych domach w okolicznych wsiach. Podobno chętnie przyjmują wszystko, co turyści im przekazują. W miarę normalne życie toczy się zaś w okolicznym Czarnobylu, gdzie działa poczta, sklep i przychodnia zdrowia. W bliskiej odległości od Prypeci i Czarnobyla znajduje się niegdyś pilnie strzeżona baza wojskowa, na której terenie postawiono olbrzymi radar Duga, zwany także „Okiem Moskwy”. Konstrukcja miała dla wojska radzieckiego tak istotne znaczenie strategiczne,



Rezydencja byłego prezydenta Ukrainy, Wiktora Janukowycza, dziś „muzeum korupcji”

że nawet miejscowi nie mieli wiedzieć o istnieniu radaru jak i samej bazy. Rozpuszczano w okolicy informacje, że głęboko w lesie znajduje się obóz letni dla dzieci, a żeby jeszcze bardziej zamydlć ludziom oczy, żołnierze radzieccy wybudowali na drodze do bazy dwa przystanki autobusowe z wizerunkami postaci z bajek. Mieszkańcy Prypeci i tak wiedzieli swoje, ponieważ z najwyższych pięter ich bloków było widać około 150-metrową, gigantyczną antenę. Władze potem tłumaczyły się, że to nadajnik telewizyjny... Radar miał za zadanie ostrzegać ZSRR przed możliwym atakiem rakietowym ze strony USA. Jego działanie trudno jednak nazwać niezauważalnym, ponieważ charakterystyczne zakłócenia było słychać w prawie całej Europie. W pewnym momencie Amerykanie wysłali do władz radzieckich oficjalne pismo, żeby zaprzestali używać radaru, o którym oni sami dawno wiedzą, bo powoduje on straszne utrudnienia chociażby w cywilnych lotach samolotów. Władze radzieckie w odpowiedzi stwierdziły, że nie mają pojęcia o czym Amerykanie mówią, a zakłócenia to nie

ich sprawka. Gdy władze USA przesłały w kolejnym liście zdjęcie satelitarne na którym jak na dłoni było widać całą instalację, ZSRR odparł, że to aparatura do kontroli pogody, a nie żaden radar...

Nadszedł wreszcie 6 stycznia, czyli dzień kiedy prawosławni zasiadają do swojej uroczystej wieczerzy. Wspólnie z Bartoszem staraliśmy się w choć minimalny sposób stworzyć namiastkę wschodniej wigilii. Właśnie w tym celu w Ławrze Peczerskiej (siedziba zwierzchnika Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego) zakupiliśmy ikonę Narodzenia Bożego, która jest nieodłącznym elementem obchodów Bożego Narodzenia. Wschodni chrześcijanie nie dzielą się opłatkiem tylko prosforą – małym, psennym chlebkiem na co dzień używanym podczas liturgii. My także się nim przełamaliśmy. Na nasz stół musiało trafić także tradycyjne świąteczne ciasto, pierogi i oczywiście kutia, czyli mieszanka pszenicy, miodu i maku. Po tym ucztowaniu wybraliśmy się na świąteczne nabożeństwo do soboru św. Włodzimierza.

Marceli SZCZĘŚNY

Grosz do grosza

SENTYMENTY

I do skarbonki. Ale pieniądź w skarbonce to pieniądź martwy, bezużyteczny, bowiem w myśl powiedzenia: „pieniądz robi pieniądź”, powinien on mieć szybki, żywy obieg. Zadanie to doskonale spełniają banki. Mówiąc w uproszczeniu – wkład pieniężny przynosi procent, a pożyczka pozwala podjąć przedsięwzięcia dające dochód. Pierwsze polskie banki spółdzielcze w zaborze pruskim miały jeszcze inne, specjalne zadanie. Stały się redutą odpierającą zakusy na polski stan posiadania. Szczególnie w okresie działania osławionej Komisji Kolonizacyjnej zainicjowanej przez Otto Bismarcka.

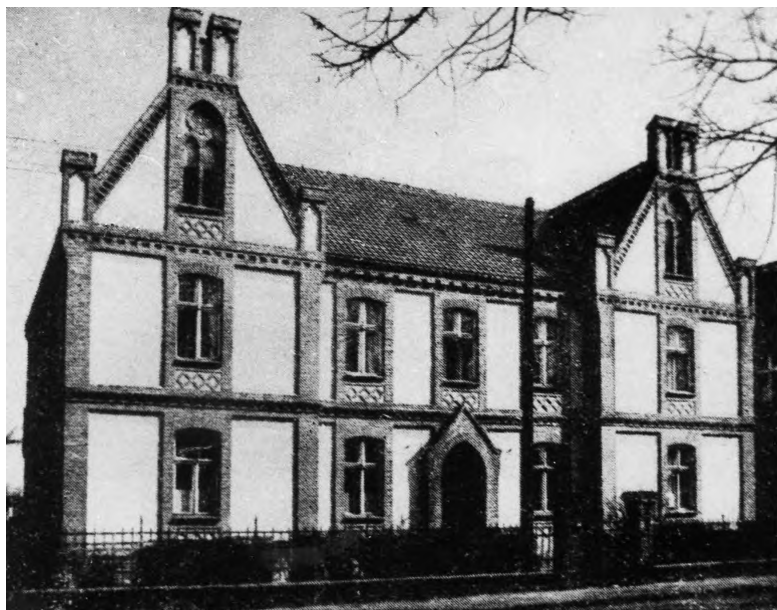
Pierwszy bank ludowy powstał w Poznaniu w 1861 r. Wkrótce placówki te zorganizowano prawie we wszystkich miasteczkach a nawet we wsiach. Do roku odzyskania niepodległości mieszkaliśmy w Chwałkowie. Pamiętam, że ojciec korzystał z pomocy istniejącego tam banku. W sąsiedniej wsi, Mchach, również działała kasa spółdzielcza.

Śremska placówka należy do jednych z najstarszych. Została założona 29 V 1873 r. Jej pierwszy zarząd stanowili: prezes – dr A. Broeckere, członkowie – Madaliński i Skoraczewski. Początkowo bank mieścił się w domu Madalińskich przy ul. Farnej, za budynkiem narożnikowym od Rynku. Istnieją tam jeszcze duże okna. Nową piękną siedzibę Banku zbudowano przed I wojną światową przy obecnej ul. ks. P. Wawrzyniaka, który będąc wikariuszem przy farze, od 1874 r. pełnił funkcję dyrektora tej placówki przez 24 lata: zaangażowany był równocześnie jako działacz prawie we wszystkich organizacjach społeczno-kulturalnych miasta. Również z jego inicjatywy stanął piękny dom dla księży obok szpitala. Także dr Seweryn Matuszewski przez długie lata kierował spółdzielczą instytucją bankową. W 1937 r.

wmurowano na frontonie budynku tablicę z podobizną ks. Wawrzyniaka. Hitlerowcy kazali ją zdjąć po wejściu do Śremu w 1939 r. Dzięki ryzykownemu zaangażowaniu się pracowników gązowni – Kazimierza Gulika i Ignacego Taciaka – tablicę udało się bez uszkodzeń przechować, by po odzyskaniu niepodległości mogła wrócić na dawne miejsce. W okresie okupacji w biurach bankowych wydawano kartki żywnościowe i na

Bank Ludowy w Śremie, widok z 1902 r. Pocztówka ze zbiorów Krzysztofa Budzyna





„Wikaryjka” przy ul. Farnej w Śremie. Tot. ze zbiorów MŚ

węgiel. Z okien domu naprzeciw Banku, w którym mieszkaliśmy, obserwowałem, jak w mroźne grudniowe i styczniowe dni pierwszego roku okupacji, od rana ludzie wystawiali przed wejściem do biura, bo wpuszczano tylko kilka osób jednorazowo. Pilnował tego Bohle, volksdeutsch, który na prośby przemarzniętych ludzi, żeby pozwolił wejść chociaż do sieni, wykrzykiwał (pamiętam dokładnie): „Ja mam rozkaz wszystkich nie wpuszczać”. W południe większość wracała do domu bez kartek na węgiel, bo limit dzienny został wyczerpany.

Oprócz kas spółdzielczych pod koniec lat dwudziestych powstały w Śremie jeszcze dwie instytucje bankowe: Komunalna Kasa Oszczędności w budynku obok Ratusza oraz tam gdzie dziś NBP – Powiatowa Kasa Oszczędności. Pierwszą kierował Alfons Wiese, a drugą Marian Kończak. KKO w dużym stopniu przyczyniło się do rozwoju handlu i rzemiosła w mieście. Osobiście wspominam je z wielką sympatią i wdzięcznością, bowiem tak jak i moi koledzy z miejsca pracy, byliśmy często jej klientami w potrzebie. Użytkowaną wekselską pożyczkę spłacało się w bardzo dogodny sposób. Po upływie kwartału należało część uregulować gotówką, a na pozostałą sumę

wystawiało się nowy weksel. Podczas okupacji w budynku KKO mieścił się komisariat miejskiej policji z aresztem w piwnicach. Jedyny bank niemiecki zajął lokale kasy powiatowej. Tutaj po wyzwoleniu pod koniec lutego, na polecenie starosty K. Kozłowskiego zorganizowano wymianę pieniędzy. Za 500 mk (najwyższa kwota wymiany) zapłaciliśmy 25 zł. Tak więc wszyscy stawaliśmy się finansowo zrównani.

W krótkim czasie po wyzwoleniu dyrektor Wiese uruchomił bank miasta. Pamiętam, że udzielił on Magistratowi krótkoterminowej pożyczki na opłacenie w czerwcu 1945 r. nadeszłych dwóch pociągów węgla, które z własnej inicjatywy i przy osobistym zaangażowaniu się, wyjechawszy na Śląsk, wyjednał dla Śremu Marian Nowak, ówczesny kierownik wydziału przemysłu w Starostwie. Dzięki temu gazownia miała na dłuższy czas zabezpieczoną produkcję, to samo piekarnia, masarnia i odlewnia.

Na skutek zmian ustrojowych KKO istniało jeszcze tylko w 1946 r. W jej miejsce powstał najpierw Bank Rolny, a później Narodowy Bank Polski. Bez zmian został jedynie Spółdzielczy Bank Ludowy.

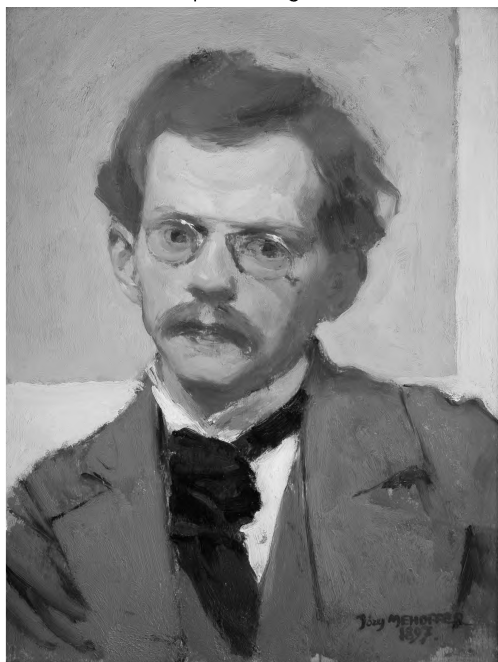
Urszula ŁUKOMSKA

Autoportrety polskich mistrzów pędzla, kredki, ołówka. Część 2

Przeglądając książki o malarstwie napotykamy często autoportrety twórców. Zauważyłam, że większość z nich to portrety młodzieńcze, pewnie dlatego, że to częste ćwiczenie w uczelniach artystycznych. Kolejną przyczyną może być fakt, że dla siebie jest się modelem spokojnym i wyrozumiałym.

Na początek o kilku malarzach, których wizerunki pojawiają się na kartach książek i w artykułach. To Podkowiński, Gieryski, Fałat, Sławiński itd. Od razu muszę dodać, że znamy zaledwie po jednym portrecie propagowanym... i tak: Autoportret węgłem Podkowińskiego z 1892 r.

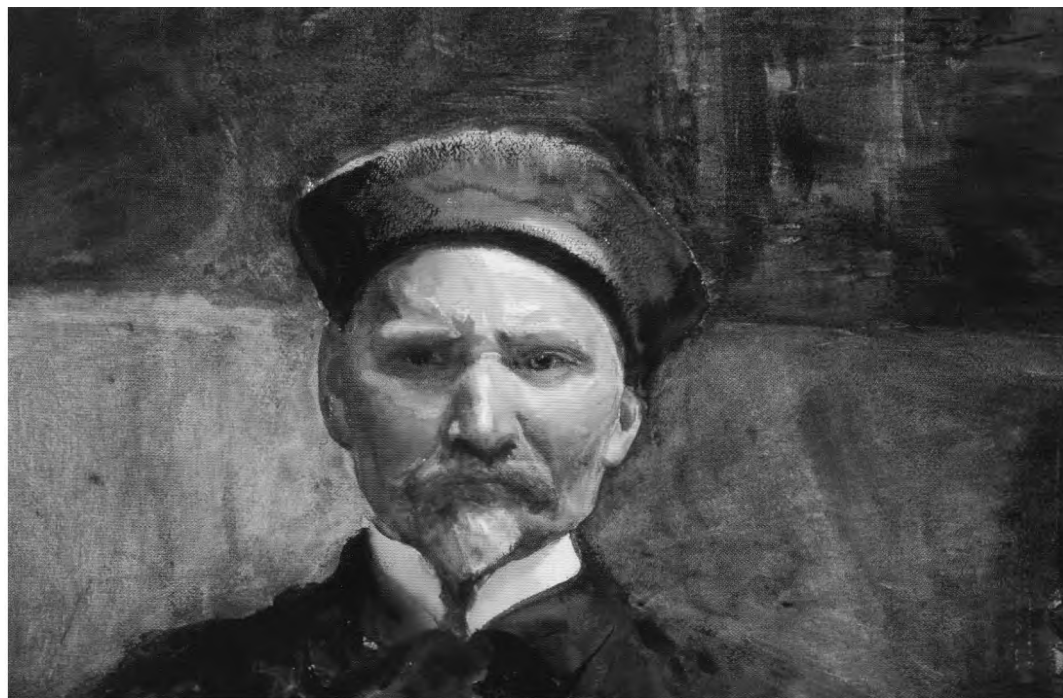
Józef Mehoffer, Autoportret, fragment obrazu



z Muzeum Śląskiego w Katowicach, autoportret Fałata z paletą z 1896 r. (MNW) czy, podobny w ujęciu, Teodora Axentowicza z 1898 również z Muzeum Narodowego w Warszawie. Można by stworzyć poczet kolejnych autorów znanych z jednego autoportretu. Z tych wielu znakomitości postanowiłam wybrać Mehoffera i Wyczółkowskiego, którzy zasłynęli z kilku rozpoznawalnych wizerunków. Są to autoportrety w różnych ujęciach wykonane na przestrzeni całego życia. Obaj malarze związani byli z Krakowem i Akademią Sztuk Pięknych.

Józef Mehoffer, Autoportret, fragment obrazu





Leon Wyczółkowski, Autoportret, fragment obrazu

Józef Mehoffer (1869-1946) to jeden z najlepiej wykształconych artystów: absolwent prawa UJ, malarz, grafik, witrażysta, autor artykułów i książek o sztuce, trzykrotny rektor Akademii, jeden z twórców Towarzystwa „Sztuka”. Zaprzyjaźniony z Wyspiańskim współpracował z nim przy realizacji polichromii matejkowskiej w Kościele Mariackim. Początkowo tradycjonalista po naukach krakowskich profesorów, w 1891 r. wyjeżdża do Paryża, gdzie studiuje w kilku renomowanych pracowniach. Szczególnie podziwia obrazy Puvis de Chavannes’a malującego płasko i jakby poza naśladownictwem natury. Nie zachwycają go impresjoniści. Ślewiński zaznacza go z twórczością nabistów preferujących dekoracyjność i odejście od historyzmu na rzecz współczesności, transponując naturę na język sztuki. Z tego okresu znamy kilka ciekawych autoportretów. Najpopularniejszy jest namalowany w 1894 r. olejny, o wymiarach 64x45 cm, obecnie w Muzeum Narodowym w Poznaniu. Ujęty w popiersiu na prawie neutralnym tle, malowany swobodnymi plamami z widocznymi śladami

pędzla w gamie ugrów, czerni i bieli. W warszawskich zbiorach możemy znaleźć kolejny, tym razem akwarelowy, podrysowany ołówkiem, przedstawiający artystę w kapeluszu. Na obu widzimy młodego człowieka o melancholijnym spojrzeniu z rudymi włosami i wąsami, spoglądającego na widza jakby badawczo spod popularnych wówczas binokli. Gdyby nie wiedza o jego szczęśliwym życiu rodzinnym, można by mniemać, że ma problemy, a na twarzy maluje się smutek... Zupełnie inaczej przedstawił go przyjaciel, Stanisław Wyspiański, na portrecie znajdującym się w Muzeum w Rogalinie. Barwny z przewagą błękitów, o prawie pomarańczowej czuprynie model, ma w oczach wesołe ogniki. Interesujący jest autoportret z dojrzałego okresu życia, ale trudno na niego trafić w popularnych opracowaniach. Przedstawia mężczyznę we wnętrzu, ukazanego w pozie stojącej lecz nie w całości. Gama barwna z przewagą ugrów, brązów, zieleni jakże odbiega od jego wspaniałych kolorystycznie obrazów i witraży. O ile jako twórca używał żółci, czerwieni, soczystych zieleni i błę-

kitów jak np. w *Dziwnym ogrodzie*, siebie przedstawiał w barwach wyciszonych, intelektualistę a nie artystę, jak może go postrzegać większość.

Drugi z wybranych przeze mnie autorów uwielbiał się kreować, choć daleko mu było do Malczewskiego. Leon Wyczółkowski (1852-1936) to jeden z największych twórców okresu Młodej Polski. Artysta wszechstronny. Fenomenalny malarz, utalentowany grafik, jeden z założycieli krakowskiej „Sztuki”, pedagog o nowatorskim podejściu do edukacji. Duch niespokojny przenoszący się z Warszawy do Monachium, Krakowa, Włoch, Paryża, ale i na Ukrainę, pracujący i wystawiający w Poznaniu i Bydgoszczy, podróżujący od Bałtyku po Tatry. Liczba wystaw, w których brał udział lub je organizował jest nie do zacytowania, bo trzeba by na to poświęcić zbyt wiele miejsca. Z rozmaitych wystaw w całej Europie wspomnę tylko o poznańskiej, w 1928 r., gdyż wtedy przeniósł się do Wielkopolski, a rok później na Wystawie Krajowej otrzymał Złoty Medal za całokształt. Nagród, medali i odznaczeń miał sporo, o czym można się przekonać, czytając życiorys. Ze znanych autoportretów: – ten namalowany ok. 1900 r. (35,5 x 25,8cm.) czy autoportrety z 1898 r. i 1912 r. z Muzeum Okręgowego w Bydgoszczy lub autolitografia na papierze

(36,5 x 48,5cm), gdzie sportretował się w różnych nakryciach głowy. Ja najbardziej lubię *Autoportret w chińskim kaftanie* z 1911 r., o którym w „Kurierze Warszawskim” napisano, że „jest to brawurowa symfonia plastyczna”. Malarz przedstawił się na tle tkaniny z czasów dynastii Ming w jedwabnym stroju w smoki z kolekcji Feliksa Jasieńskiego (MNW). Motyw był interesujący, więc powtórzyli go inni, w tym Malczewski portretując Wyczółkę (jak nazywali go przyjaciele) w egzotycznym stroju. W tym roku, po 14 latach pracy dydaktycznej, w Akademii Krakowskiej zrezygnował z absorbującej profesury, by oddać się kolejnym projektom artystycznym na Ukrainie i zaraz potem w Holandii, Anglii i Szkocji. Był to okres, w którym porzucił malarstwo olejne na rzecz akwareli i pastelu, a także ukochanej grafiki, którą zajmował się przez kolejne ćwierć wieku aż do śmierci. Pod koniec lat dwudziestych zamieszkał w Gościeradzu niedaleko Bydgoszczy, gdzie czuł się szczęśliwy. Polecił żonie by po jego odejściu przekazała prace bydgoskiemu muzeum, co uczyniła. Część z nich znajduje się w Muzeum Okręgowym jego imienia, część w Domu Wyczółkowskiego na wyspie Młyńskiej, zaaranżowanym na wzór gościeradzkiego dworku z licznymi pamiątkami po jednym z największych naszych twórców.

Leon Wyczółkowski, Autoportret, fragment obrazu



Katarzyna GRZEGORCZYK

Gdzie szukać informacji?

Okiem belfra

Poranna trasa do szkoły to zwykle okazja do ciekawych przemyśleń. Radiowa audycja, widok z okna auta stojącego w korku, wspomnienie wczorajszej rozmowy... Już bladym świtem nasze okienko na świat, czyli osobisty telefon, bombarduje powiadomieniami z mediów społecznościowych i portali informacyjnych. Zbieramy informacje, opinie, nowości i ploteczki. Zalewa nas prawdziwe tsunami medialne. To z jednej strony zaleta świata, w którym żyjemy. Mamy nieograniczony, błyskawiczny dostęp do wszelkich informacji. Z drugiej jednak strony pojawia się niebezpieczeństwo, jakim jest informacja niesprawdzona, powierzchowna lub fałszywa. Jak w morzu napływających wiadomości znaleźć te wartościowe? Jak dokonać selekcji? Jak nie paść ofiarą manipulacji?

Dorośli odbiorca świadomy jest różnorodności i różnej jakości pojawiających się informacji. Nie oznacza to, że potrafi je bezbłędnie selekcjonować i wybierać te, które są rzetelne i wartościowe. Ma jednak pewne doświadczenie i szansę na samodzielne oraz odpowiedzialne wybory. Tymczasem w barwnym, głośnym oraz interaktywnym świecie informacji musi odnaleźć się również młody człowiek. Także on pada ofiarą medialnego huraganu. Staje oko w oko z hydrą, jaką jest świat mass mediów. Czy potrafi się w nim odnaleźć? Czy umie dokonywać właściwych wyborów? Jaki jest obraz świata, który powstaje w głowie młodego człowieka? Czy dostrzega on rzeczywistość taką, jaka jest, czy poddaje się wizjom zniekształconym i zmanipulowanym?

Kto, kiedy i gdzie powinien nauczyć młodego człowieka odbioru informacji? Kto powinien stać się w tym zakresie jego mistrzem i mentorem? Na kogo spada odpowiedzialność za przekazanie wiedzy i wyćwiczenie umiejętności? Zapewne

pierwszym autorytetem w tej dziedzinie powinni być rodzice. Ich opinie i sądy budują wizję świata, w którym maluch porusza się na co dzień. Niewątpliwie kolejnym mistrzem w poszukiwaniu prawdy o świecie dla młodych ludzi powinien być nauczyciel. To właśnie szkoła powinna dać temu kształtującemu się dopiero człowiekowi czas, miejsce i sposobność na to, by nauczyć się wyszukiwać informacje, oddzielać ziarno od plew. Szkoła powinna być przestrzenią, w której uczeń poznaje meandry świata medialnego i wie, że w ten świat wpisana jest manipulacja. Trzeba życiowej mądrości, dociekliwości i cierpliwości, by zbudować swoją wiedzę o zjawiskach i sprawach, które toczą się wokół nas.

Dlaczego tak ważna jest umiejętność selekcji informacji? Dlaczego w człowieku powinna zrodzić się nieustająca nieufność wobec tego, co podaje nam się jako medialną papkę lukrowaną zgodnie z zaistniałymi potrzebami? Dlatego, że silne, niezależne i zdrowe społeczeństwo rodzi się z ludzi, którzy potrafią selekcjonować informacje, mają własne zdanie, a jednocześnie są otwarci na opinie innych. Takie społeczeństwo potrzebuje mądrych obywateli, świadomych swych praw, pociągających do odpowiedzialności tych, którzy w ich imieniu sprawują władzę. Potrzebujemy ludzi, którzy nie przyjmują przygotowanych specjalnie dla nich wiadomości, lecz poszukują prawdy.

We współczesnym świecie kluczową umiejętnością jest odbiór i selekcja informacji. Do lamusa powinno zatem przejść nauczanie encyklopedyczne. Uczmy mądrze i odpowiedzialnie, mając świadomość, że bardzo trudno zbudować społeczeństwo informacyjne, które świadome jest posiadanych możliwości. Informacja może być drogą zarówno do wolności, jak i zniewolenia.



Wieści z ratusza

NIE BĄDŹ LEŃ – POSPRZĄTAJ PO SWOIM PSIE

W tym roku, jak i w latach ubiegłych, gmina Śrem wraca do tematu sprzątaniania po psie. Sprzątanie po psie to obowiązek każdego właściciela! Jest również oznaką dobrego wychowania i wyrazem szacunku do innych osób!

A czy Ty sprzątasz po swoim psie? Jeżeli nie – koniecznie zacznij! Jeżeli tak – przekonaj do takiego działania innych! To nie wstyd – to kultura! Sprzątanie po psie nie powinno być dla nikogo wstydem. Wręcz przeciwnie! Z dumą możesz wyjąć woreczek z kieszeni, bo to wyraz Twojego szacunku do innych osób. Pokazujesz, że jesteś odpowiedzialnym i kulturalnym właścicielem czworonoga.

Za brak tej kultury możesz zapłacić. Jeżeli nie posprzątasz – możesz zapłacić mandat! Obowiązkiem (wg prawa) jest „natychmiastowe usuwanie, przez właścicieli, zanieczyszczeń pozostawionych przez zwierzęta domowe w obiektach i na innych terenach przeznaczonych do użytku publicznego, a w szczególności na chodnikach, jezdniach, placach, parkingach, terenach zielonych, itp.”. Kara może wynieść nawet 500 zł!

Sprzątaj i wymagaj. Choć świadomość społeczna wzrasta i jest coraz lepiej, to wciąż są osoby, które nie sprzątaj. Dlaczego? Bo „może się uda”, bo „i tak tego nikt nie sprawdzi”, bo „co mnie obchodzi, co powie sąsiad”. Sprzątanie to wyraz kultury! A sprzątając po swoim psie, możesz wymagać sprzątaniania od innych! Sąsiad z pewnością poczuje się zawstydzony, gdy podasz mu woreczek na psie odchody.

Dbaj o zdrowie. Psie odchody są szkodliwe i niebezpieczne; mogą być siedliskiem pasożytów i przenosić choroby. Na terenie miasta jest wiele pojemników z workami na odchody.

Brakuje ich w Twojej okolicy? Powiadom pracowników Urzędu Miejskiego w Śremie: telefonicznie lub mailowo. W Urzędzie Miejskim są również dostępne ulotki z grafiką „Nie bądź leń – posprzątaj po swoim psie”. Zapraszamy wszystkich zainteresowanych wywieszeniem na witrynie sklepowej czy w innym widocznym miejscu po ich odbiór (bezpłatnie).



#ZIELONYŚREM

Urząd Miejski w Śremie uruchomił akcję zazieleniania miasta pod hasłem #zielonyśrem. Decyzję, gdzie w Śremie pojawią się nowe drzewa i krzewy podejmują mieszkańcy, poprzez ankietę internetową dostępną na srem.pl. Do wyboru jest 10 lokalizacji: Park Miejski im. Powstańców Wlkp. – drzewa/krzewy, Park Miejski im. Powstańców Wlkp. – drzewa/krzewy, Miejski Park Ekologiczny im. Włodzimierza Puchalskiego – drzewa/krzewy, Park Śremskich Odlewników – drzewa/krzewy, ul. Kilińskiego, ul. Jeziorna (od Kilińskiego do lasu nad jeziorem – lewa strona), ul. Komorowskiego 6 (przy nowych drzewkach) – krzewy, ul. Chałubińskiego (rondo) – krzewy, ul. Gostyńska – drzewa, ul. Kilińskiego (od kościoła pw. NSJ do ul. Nowowiejskiego, po stronie parkingów przy ul. Moniuszki) – drzewa/krzewy. W ankiecie jednorazowo będzie można wytypować 3 lokalizacje. Można też wskazać inne miejsce w mieście, w którym warto posadzić zieleń. Z akcji wyłączone są tereny prywatne.

Nasadzane będą głównie rodzime gatunki przystosowane do warunków miejskich, odporne na zanieczyszczenia środowiska.

Akcję #zielonyśrem w 2022 roku podzielono na dwa etapy: nasadzenia wiosenne – ankieta dostępna do 31 marca 2022 roku i nasadzenia jesienne – ankieta dostępna od 1 kwietnia do 31 sierpnia 2022 roku.

Ankieta dostępna jest na srem.pl.

NOWE BLOKI ŚTBS

W styczniu br. Śremskie TBS Sp. z o.o. oficjalnie przekazała wykonawcy plac budowy pod trzy bloki mieszkalne przy ul. Żurawiej w Śremie.

Budynki będą takie, jak istniejące: czterokondygnacyjne, podpiwniczone z 20 mieszkaniami i 6 garażami. Do mieszkań przynależna jest komórka lokatorska (piwnica). Każde mieszkanie posiadać będzie balkon. Lokale wyposażone będą w kuchenkę elektryczną, zlewozmywak, muszlę ustępową, prysznic, umywalkę i baterie. Energia do ogrzewania mieszkań będzie dostarczana przez sieć ciepłowniczą. W blokach zaprojektowano łącznie: 12 mieszkań o powierzchni 40,54 m² – dwupokojowe z aneksem kuchennym, 24 mieszkania o powierzchni 47,75 m² – dwupokojowe z odrębną kuchnią, 24 mieszkania o powierzchni 51,28 m² – trzypokojowe z aneksem kuchennym

Roboty budowlane zgodnie z umową mają potrwać 22 miesiące. Oddanie mieszkań do użytku planowane jest z początkiem 2024 roku.

Na tę inwestycję gmina Śrem wraz ze Śremskim TBS Sp. z o.o. pozyskały bezzwrotne środki finansowe z Funduszu Dopłat i Rządowego Funduszu Rozwoju Mieszkalnictwa. Dodatkowym źródłem finansowania będą partycypacje przyszłych najemców, kredyt oraz środki własne Spółki i gminy Śrem. Planowany koszt inwestycji wynosi 17,2 mln zł.



Przyjęta i opracowana koncepcja zagospodarowania terenu przy ul. Żurawiej w Śremie zakładała budowę 10 budynków po 20 mieszkań każdy. W roku 2014 wybudowane zostały 3 budynki, w 2016 roku do użytku oddano 2 budynki.

„ZŁOTA RĄCZKA DLA SENIORA” DOCENIONA

Stowarzyszenie Pomocna Dłoń wraz z Burmistrzem Śremu Adamem Lewandowskim za akcję „Złota rączka dla seniora” zostali nominowani do nagrody Super Samorząd Fundacji im. Stefana Batorego. W grupie nominowanych znalazło się 15 kandydatów spośród 314 uczestników: organizacje społeczne lub grupy nieformalne i władze samorządowe ich miejscowości, gmin, które razem zrealizowały oddolną inicjatywę. „Złota Rączka” to projekt, który ma na celu pomoc w drobnych pracach czy naprawach w domu u osób starszych. Z usługi mogą skorzystać mieszkańcy gminy Śrem spełniający dwa warunki: są w wieku 60+ oraz zamieszkują samotnie lub z innymi osobami w wieku 60+. Usługi są bezpłatne, beneficjent opłaca koszt niezbędnych materiałów. Rozliczenie

kosztów materiałów następuje w tym samym dniu gotówką na podstawie przedstawionego paragonu. Nagroda przypadła innym wyróżnionym, niemniej nominacja śremskiej grupy w tak szerokim gronie jest nobilitacją i docenieniem śremsian, którzy angażują się społecznie niosąc pomoc potrzebującym.

ROZLICZ PIT W ŚREMIE!

Rozliczanie PIT-ów w Śremie to wiele korzyści dla mieszkańców. Każdy zapłacony tu podatek to nowe chodniki, drogi, miejsca rekreacji, infrastruktura sportowa.

Wystarczy wpisać adres zamieszkania w gminie Śrem w dokumencie PIT, by pieniądze z podatków trafiły do Śremu. Nie trzeba być zameldowanym. Rozliczanie podatków w miejscu zamieszkania jest potwierdzeniem odpowiedzialności społecznej. Mieszkańcy każdego dnia korzystają z infrastruktury finansowanej i utrzymywanej przez gminę: dróg, parkingów, parków, boisk, prowadzą dzieci do przedszkola czy szkoły, na dodatkowe zajęcia sportowe. Dlatego zachęcamy do rozliczenia PITu w Śremie!





Kalendarz wydarzeń na I kwartał 2022 r.

cały rok	uczczenie powstania Liceum Ogólnokształcącego w Śremie i 100-lecie nadania im. gen. Józefa Wybickiego Liceum w Śremie - www.losrem.pl
styczeń	konkursy: artystyczny, literacki, na prezentację multimedialną - www.losrem.pl
styczeń	powiatowy konkurs plastyczny na interpretację jednej wybranej zwrotki "Mazurka Dąbrowskiego" - www.zsr-grzybno.pl
marzec	VII edycja wojewódzkiego konkursu wiedzy o gen. Józefie Rufinie Wybickim i polskich symbolach narodowych - www.konkurs-wybicki.pl / www.unia.srem.com.pl
10 marca	obchody 200. rocznicy śmierci gen. Józefa Rufina Wybickiego w Manieczkach - www.muzeum.srem.pl
cały rok	odnowienie nagrobka rodzinnego Wybickich w Brodnicy

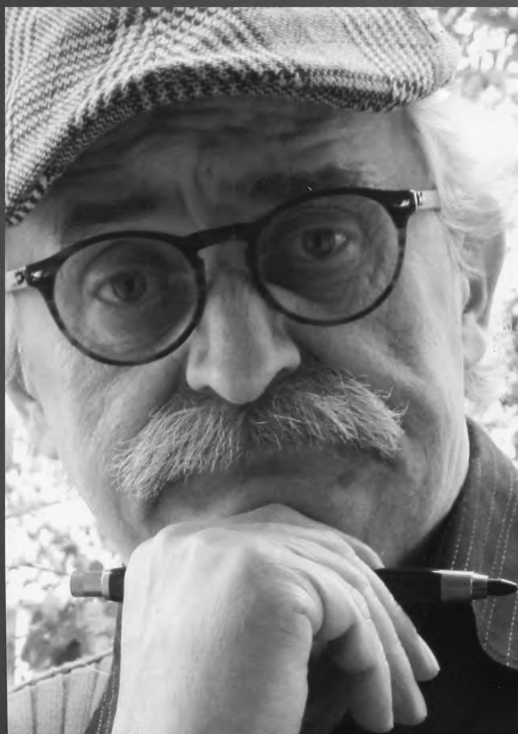
kontakt:



koordynatorzy kalendarza / informacje:

Stowarzyszenie Miłośników Dziedzictwa Narodowego im. gen. Józefa Wybickiego
- e-mail: rad.fran7@gmail.com, kom. 506 997 049

Unia Gospodarcza Regionu Śremskiego - Śremski Ośrodek Wspierania Małej Przedsiębiorczości
- www.unia.srem.com.pl, e-mail: unia@srem.com.pl, tel. 61 28 32 704



EUGENIUSZ FERSTER

1947-2020

WYSTAWA W MUZEUM ŚREMSKIM
WERNISAŻ - 24.04.2022

MUZEUM ŚREMSKIE

W poszukiwaniu zaginionego jajka

**Uczestnicy, po krótkim
wprowadzeniu w tradycję
wielkanocne, wyruszą w podróż po
ogrodzie muzealnym, w
poszukiwaniu zaginionego jajka
wielkanocnego.**



Zapraszamy starsze grupy przedszkolne oraz
szkoły podstawowe
na zajęcia w terminie 28.03-8.04.2022 r.
poniedziałek-piątek, godz. 8.00-15.00, 8zł/osoba
Czas trwania: ok. 90 minut.
Prosimy o wcześniejszą rezerwację terminów,
tel. 61 283 59 38, 607 755 207.



Ź
MUZEUM ŚREMSKIE

**Konkurs
na
palmę wielkanocną**

**Termin składania prac:
7 kwietnia 2022**

**Ogłoszenie wyników:
10 kwietnia 2022 g.12:00
podczas Niedzieli Palmowej w Muzeum**

**Regulamin konkursu
dostępny na stronie internetowej
www.muzeum.srem.pl**

MUZEUM ŚREMSKIE | 63-100 ŚREM, UL. A. MICKIEWICZA 89
tel. 61 28 35 938, 607 755 207 | www.muzeum.srem.pl, www.facebook.com/muzeumsremskie

 śremski ośrodek kultury

MAGIA STRUN

19.03.2022 | 19:00
SALA WIDOWISKOWA
MUZEUM ŚREMSKIEGO

POD HONOROWYM PATRONATEM
BURMISTRZA ŚREMU
ADAMA LEWANDOWSKIEGO

JADWIGA
TOMCZYŃSKA
HARFA ELEKTRYCZNA / WOKAL

BARBARA
SZELĄGIEWICZ
SKRZYPCY

MICHAŁ
ZATOR
HARFA CELTYCKA / WOKAL

W PROGRAMIE MUZYKA FILMOWA I ESTRADOWA W HARFOWYCH ARANŻACJACH

BILETY: PRZEDSPRZEDAŻ DO 28.02.2022 - 70 zł
CENA REGULARNA OD 01.03.2022 - 80 zł
BILETY DOSTĘPNE NA BILETY24.PL ORAZ W ŚREMSKIM OŚRODKU KULTURY

RENA TA BRUKIEWICZ
PROWADZENIE KONCERTU

☎ 889 647 418 ✉ BOK@SOK-SREM.PL 🌐 SOK-SREM.PL

WYDARZENIE WSPÓŁFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW GMINY ŚREM

ORGANIZATOR:



WSPÓŁORGANIZATORZY:



PARTNERZY:



REPERTUAR

KONCERTOWO - KABARETOWY

2022

19.03.
godz. 19:00

MAGIA STRUN

SALA
WIDOWISKOWA
MUZEUM ŚREMSKIEGO

21.05.
godz. 17:00

TERESA WERNER

SALA
WIDOWISKOWA
MUZEUM ŚREMSKIEGO

24.09.
godz. 19:00

ANITA LIPNICKA

SALA
WIDOWISKOWA
MUZEUM ŚREMSKIEGO

09.10.
godz. 17:00

**KABARET SOLO
IGOR KWIATKOWSKI**

SALA
WIDOWISKOWA
MUZEUM ŚREMSKIEGO

30.10.
godz. 17:00

**KONCERT
MUZYKI FILMOWEJ**

SALA
WIDOWISKOWA
MUZEUM ŚREMSKIEGO

19.11.
godz. 19:00

LUXTORPEDA

SALA
SPORTOWA
ŚREMSKI SPORT

10.12.
godz. 16:00, 19:00

KABARET HRABI
(DZIECI I DOROŚLI)

SALA
SPORTOWA
ZSE



mail: bok@sok-srem.pl

tel: 889 647 418

www.facebook.com/sremski.osrodek.kultury.9



Biblioteka

Publiczna im. H. Święckiego
w Śremie

63-100 Śrem
ul. Grunwaldzka 10
tel: 61 2835467, fax: 61 2837774
www.biblioteka.srem.pl
e-mail: info@biblioteka.srem.pl

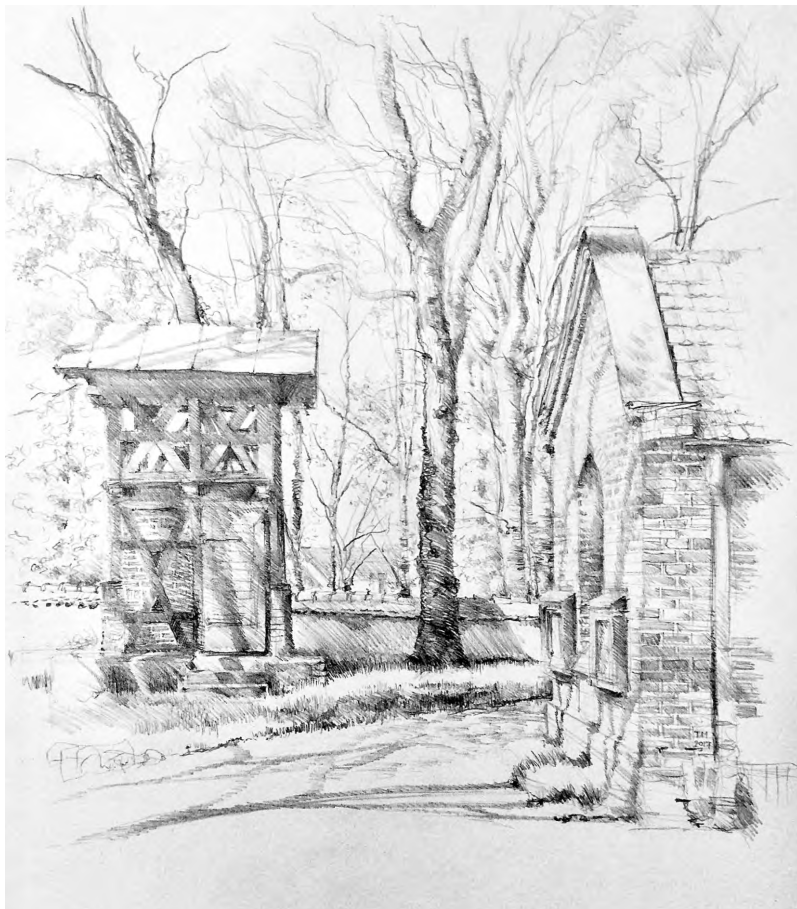
W Wielkopolskiej Bibliotece Cyfrowej znajdują się aktualnie 104 obiekty udostępnione przez Bibliotekę Publiczną w Śremie. Są to m.in. książki z serii „Śrem w małych monografiach”, roczniki „Głosu Śremskiego” i „Śremski Kurier Biblioteczny”. Wszystkie te obiekty pobierano w zeszłym roku blisko 7 000 razy. Naszą rekordzistką jest książka Jarosława Wawrzyniaka pt. *Śrem w Powstaniu Wielkopolskim 1918-1919*. Umieszczona w WBC w grudniu 2015 roku pobierana była dotąd 10 103 razy.

W zakresie digitalizacji Biblioteka Publiczna w Śremie współpracuje z Wojewódzką Biblioteką Publiczną i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu. Pierwszymi zdigitalizowanymi publikacjami z naszych zbiorów były: opracowanie Jana Horowskiego pt. *Dawny strój ludowy w okolicy Śremu* (1939) oraz książka Mieczysława Ziemskiego i Tadeusza Piechockiego *Wszereż i wzdłuż Ziemi Wielkopolskiej* T.1 (1934). Oba tytuły trafiły do Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej w kwietniu 2011 roku. W ubiegłym roku minęło więc dziesięć lat partnerskiej współpracy, dzięki której możemy prezentować swoje zbiory w jednej z największych bibliotek cyfrowych w Polsce. Na przestrzeni tych dziesięciu lat wszystkie nasze obiekty pobierano 32 462 razy.

WBPiCAK w Poznaniu realizując własne digitalizacyjne projekty zaprasza do współpracy biblioteki publiczne z Wielkopolski, w tym także Bibliotekę Publiczną w Śremie. Zważywszy, że są to przedsięwzięcia bardzo kosztowne, wymagające m.in. wysokiej jakości sprzętu i oprogramowania, udział w nich jest jedyną szansą na utrwalenie naszego dziedzictwa i udostępnienia go szerszemu gronu odbiorców. W roku 2015 w ramach projektu „Cyfrowa Wielkopolska” zdigitalizowano i udostępniono w WBC pięć to-

mów z serii „Śrem w małych monografiach”. W roku 2019 uczestniczyliśmy w projekcie pn. Cyfrowe czasopisma – Wielkopolska, dzięki któremu w WBC znalazły się tytuły i roczniki współczesnych czasopism regionalnych, w tym „Głos Śremski”. W połowie roku 2021 w WBC udostępniono kolejne numery „Głosu Śremskiego” z lat 1987-88. Tym samym dostępny jest już komplet zdigitalizowanych roczników tego czasopisma.

Digitalizacja służy głównie ochronie zbiorów i jest to długi, wieloetapowy proces, wymagający m.in. uregulowania kwestii praw autorskich, opracowania metadanych, czyli pewnego rodzaju opisu katalogowego, skanowania, a na końcu opublikowania w bibliotece cyfrowej. Dzięki bibliotekom cyfrowym Czytelnicy zyskują szybki i wygodny dostęp do zdigitalizowanych materiałów oraz nowoczesne narzędzia do przeszukiwania ich treści. Zachęcamy Czytelników do korzystania z Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej i innych cyfrowych bibliotek.



Dzwonnica w Dalewie, 2017, rys. Tomasz Mazurczak

Gazeta Śremska

siedziba redakcji – Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
tel: 61 2835938, kom: 533 875 030
e-mail: gazeta@muzeum.srem.pl, www.muzeum.srem.pl

Wydawca:

Muzeum Śremskie; 63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam oraz zmiany programów i terminów
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

Redagują:

Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)
Ewa NOWAK (redaktor prowadząca)
Katarzyna TOMCZAK (korekta)

Na okładce:

I – Fot. Marcin Piętka
IV – Fot. Piotr Pieczykolan

Skład:

Samuel Bednarski

Druk:

via drukomatic.pl

TU
jest,
TU
było,
TAK
się mówiło

ul. Ogrodowa 7

Dom przy ul. Ogrodowej 7 został zakupiony przez Michalinę Banachowicz (babkę Haliny Śmigielskiej z d. Szczepskiej). Wcześniej mieszkały tam siostry Elżbietanki. Od czasu powrotu z Warszawy do Śremu, aż do śmierci w 2021 roku mieszkał tu Aleksander Śmigielski - syn Haliny Śmigielskiej.



Na fotografii z roku 1912 stoją od lewej Zosia Wachowiak (Liczbańska), Jaś Wachowiak (późniejszy właściciel firmy „Rolnik”) i Bronek Szczepski (syn Sylwestra Szczepskiego, późniejszy właściciel warszawskiej firmy „Interprint”).



Fot. Piotr Pieczykolan, 2022



ISSN 1232-7476



9 771232 747209

03